

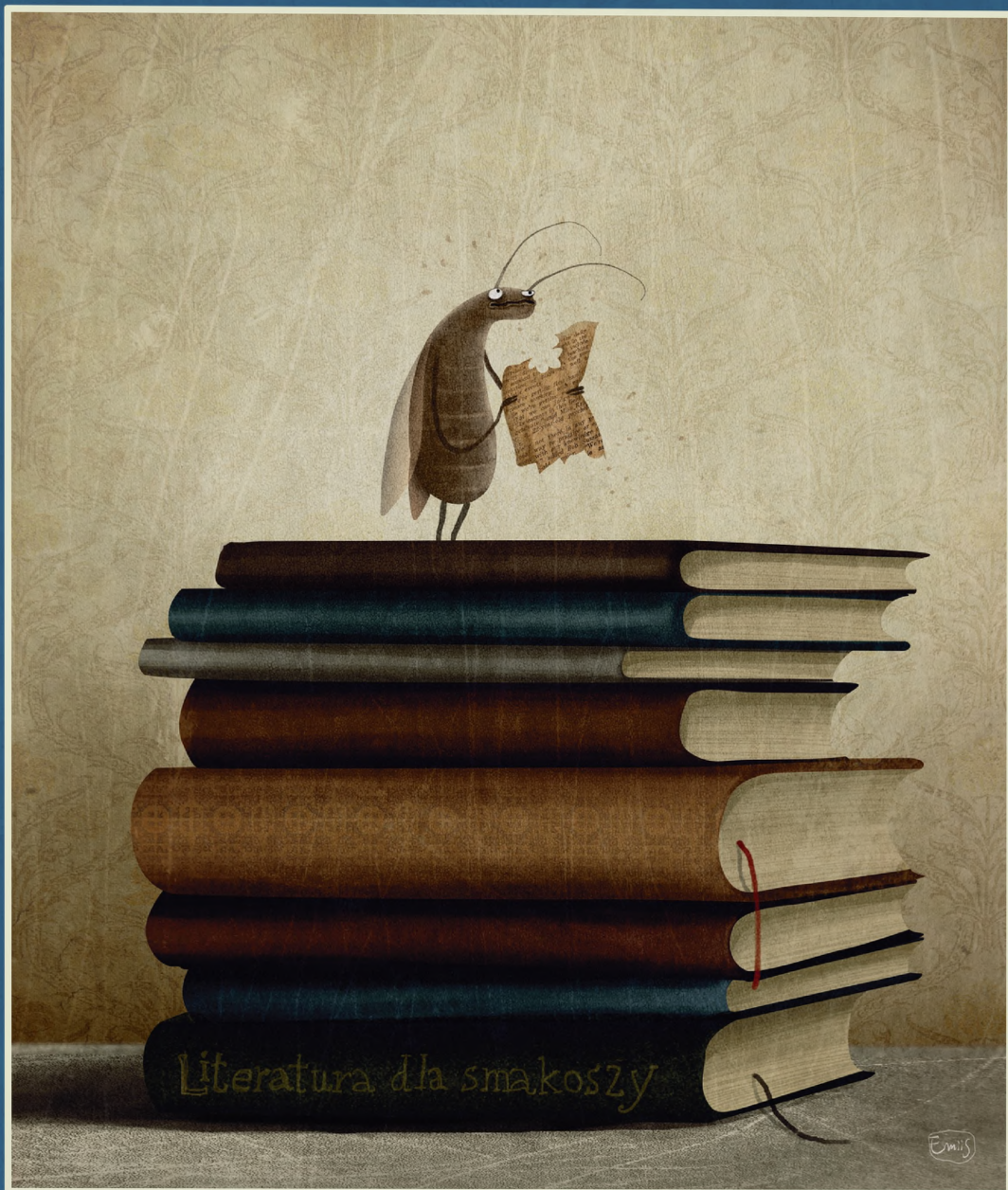
Gazeta Sremska

5-6/2022
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
maj/czerwiec
XXXII
cena 5 zł



Emilia Dziubak ILUSTRACJE

Wystawa w Muzeum Śremskim
Wernisaż - 29 maja 2022 godz.12



W numerze



Bogna Mierzejewska-Uram. Wspomnienie o babci

20 marca 2022 roku umarła Bogna Mierzejewska-Uram, córka adwokata, Tadeusza Mierzejewskiego, właściciela domu, w którym od 1991 r. mieści się Muzeum Śremskie. Babcię wspomina wnuk, Konrad Jeleń.

str. 04



Rodzina Sentflebenów

Tomasz Szymański opisuje dzieje związanej ze Śremem i Zaborowem rodziny Sentfleben.

str. 09



Wielkopolski Park Narodowy. Żywe muzeum form polodowcowych

W ostatniej części cyklu, Michał Lorenc zaprasza na edukacyjny spacer po Wielkopolskim Parku Narodowym.

str. 18

Spis treści

- | | |
|---|--|
| str. 02 Muzealne odkrywki: | str. 35 Na oparach: Korowód, karawana – |
| str. 04 Bogna Mierzejewska-Uram.
Wspomnienie o babci | kondukt? |
| str. 07 Bogna | str. 38 Tam i z powrotem, czyli polsko-włoskie |
| str. 09 Rodzina Sentflebenów | historie z winem w tle. Część 2 |
| str. 14 Życie polskich mieszkańców Jarocina | str. 40 Fundacja Bez dzwonka |
| podczas II wojny światowej | str. 43 „Mała Skandynawia” na południu Europy |
| str. 18 Na tropach lodowca... Część 16. | str. 46 Autoportrety polskich mistrzów pędzla, |
| Wielkopolski Park Narodowy | kredki i ołówka. Część 3 |
| str. 24 Jestem, więc pytam: Strach | str. 49 Nic nowego? Na granicy konfiguracji |
| str. 26 Z górnej półki: Nigdy nie mów nigdy | str. 51 Eugeniusz Antoni Ferster. Wystawa |
| str. 28 LeŻAKowanie: Jaki ojciec taki syn... | w Muzeum Śremskim |
| str. 30 Kwestionariusz kultury: Lech Nawrocki | str. 53 Okiem belfra: W cieniu wojny |
| str. 32 Opowiadanie Marty Tok: Tajemnica | str. 54 Wieści z ratusza |
| angielskiego domu | str. 58 Muzeum – wydarzenia |
| | str. 60 ŚOK – wydarzenia |
| | str. 62 Biblioteka – wydarzenia |

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Uśmiechnięty Pan Marian

Marian Zieliński (1916-1991), człowiek-orkestra, i to dosłownie, a nie w przenośni, uśmiecha się z każdej zachowanej fotografii, o ile fotograf nie uchwycił go z trąbką przy ustach. Co więcej, ta jego pogoda ducha, uwieczniona na zdjęciach, nadal się udziela, nawet tym, którzy nie mieli okazji znać go osobiście. Śremianin ważny i zasłużony, ale bez owego „ciężaru” jaki zwykle łączy się z takimi określeniami. Człowiek czasów pokoju, uczestnik i organizator śremskiego życia muzycznego, obecny, z tą czy inną orkiestrą, na każdym wydarzeniu przed- i powojennym. Trębacz, dyrygent, kompozytor. Uśmiechnięty Pan Marian. Na jego nagrobku przyjaciele napisali

Młody Marian Zieliński w stroju służbowym. Portret wyjęty z fotografii orkiestry tanecznej Stanisława Ciesielskiego, lata 30. Fot. z archiwum MŚ



m.in. „Pięknej duszy obce są mroki życia. Marian Zieliński Zasłużony śremianin. Człowiek wielkiej prawości i dobroci serca”.

Z tą czy inną orkiestrą...

Marian Zieliński naukę muzyki rozpoczął jako uczeń szkoły powszechnej. W r. 1929 wstąpił do orkiestry dętej Stanisława Ciesielskiego i do lat 50. grał we wszystkich orkiestrach pana Stanisława, m.in. orkiestry Gimnazjum. Zespół, jako orkiestra reprezentacyjna Związku Harcerstwa Polskiego, brał udział w światowych zlotach harcerskich: w 1933 r. na Jamboree w Gödollo (Węgry), a w 1937 w holenderskim Vogelesang. Tam Marian zagrał solo na trąbce przed międzynarodowym audytorium, a koncert śremskiej orkiestry był transmitowany przez radio na cały świat. Od stycznia 1939 Marian Zieliński służył w VII Batalionie Saperów w Poznaniu, grając w orkiestrze wojskowej przy szkole podoficerskiej.

Z przymusowych rób w czasie wojny wrócił do Śremu w 1946 r. i utworzył przy Wielkopolskiej Fabryce Przyczep i Wozów orkiestrę dętą. W 1954 r. przejął orkiestrę Stanisława Ciesielskiego przy POM (Państwowy Ośrodek Maszynowy). W 1953 r. uzyskał dyplom średniej szkoły muzycznej w Poznaniu. Od 1957 r. prowadził bez wynagrodzenia orkiestrę powszechnie przez śremian nazywaną Orkiestrą Mariana Zielińskiego. Kiedy w 1959 r. reaktywowano Towarzystwo Muzyczne w Śremie, został w nim dyrygentem i nauczycielem. Po śmierci Stanisława Ciesielskiego, w 1961 r. objął kierownictwo Ogniska Muzycznego.

Przez 46 lat koncertował i dyrygował orkiestrą niezliczoną liczbę razy na uroczystościach państwowych, jubileuszach, dożynkach, procesjach Bożego Ciała i innych. Przez wiele lat był organistą

w kościołach: w Jaszkanie, pofranciszkańskim, św. Ducha i przy Zakładzie Opiekuńczo-Lecznym w Śremie. W przedszkolach i w ŚOK-u prowadził lekcje rytmiki. Po przejściu na emeryturę w 1976 r. nadal prowadził Orkiestrę Dętą. Był już poważnie chory, gdy zagrał na Pasterce w 1990 r. w śremskiej farze i PDPS w Psarskiem. Komponował utwory na orkiestrę dętą lub trąbkę, m.in. *Śremskie dzieci*, *Na śremskim rynku*, *Wspomnienie o Śremie*, *Marsz dla Was*, *Polka z Kawcza*, *Nad brzegiem Warty* i oczywiście *Hejnał Śremu*. Zmarł 25 kwietnia 1991 r. w Śremie i został pochowany na cmentarzu parafialnym. 11 listopada 1991 r. Towarzystwo Muzyczne w Śremie przyjęło jego imię.

Biogram na podstawie SBŚ

Obok: Marian Zieliński z Orkiestrą Dętą (i z tulipanami) na dziedzińcu koszar w Śremie, 9 maja 1960.
Poniżej: Śremska Orkiestra Dęta na stadionie miejskim przed zawodami żużlowymi. Z przodu dyrygent Marian Zieliński. Uniformy muzyków nawiązują do instytucji, pod której auspicjami działała orkiestra – Wielkopolska Fabryka Przyczep i Powozów w Śremie, rok 1951.
Fot. z archiwum MŚ



Konrad JELEŃ

Bogna Mierzejewska-Uram

Wspomnienie o babci

20 marca nad ranem w wieku 96 lat zmarła Bogna Mierzejewska-Uram.

Odejście w zaświaty w podeszłym wieku, w otoczeniu rodziny, w domu, jest tym, czego pragniemy dla tych, których kochamy. Wdzięczności za taką właśnie, dobrą śmierć Babci towarzyszy nam – bliskim – dojmujący smutek i poczucie osierocenia. Bogna odeszła, jednak spuścizna jej życia będzie inspirować kolejne pokolenia. Czytelnikom „Gazety Śremskiej” z pewnością nie jest obcy charakterystyczny żywy styl, z jakim przywoływała rozmaite aspekty życia w dawnym Śremie.

Jaka była Bogna? Jak zapamiętałem ją jako wnuk – przez dwie dekady mieszkaniec tego samego bloku na poznańskim Grunwaldzie?

Tym, co dawało Bognie siłę, była wiara w Boga. Mawiała, że jako dziecko myślała, iż skoro jej „Tatus” był tak nadzwyczajnie dobrym człowiekiem, jakże wspaniały musi być Ojciec w Niebie. Można powiedzieć, że na obraz Babci składa się u mnie i innych bliskich przywilej wspólnie spędzonego czasu i jej opowieści, szczególnie o latach dziecięcych spędzonych z rodzicami i rodzzeństwem w ukochanym domu w Śremie.

Bogna Mierzejewska z rodzicami przed domem na ul. Mickiewicza 89





Bogna Mierzejewska-Uram, fot. z archiwum rodziny



Urodziła się w rodzinie adwokata Tadeusza Mierzejewskiego i Marii z Jabłońskich Mierzejewskiej. W 1929 roku Tadeusz Mierzejewski kupił dom przy ul. Mickiewicza 89, w którym zamieszkał z rodziną. W Śremie mieszkali do wybuchu II wojny światowej, po czym Bogna z rodzicami przeprowadziła się do Poznania.

Babcia często podkreślała, że rodzice, mimo posiadanego majątku, wychowywali ją oraz rodzeństwo Basię, Michała i Jasia w przywiązaniu do prostoty i skromności.

Przez wiele lat Babcia podejmowała regularnie obiadem pana żebrzącego po okolicznych domach. Tłumaczyła tę decyzję wiernością przykładowi swojego ojca, który, jak mówiła, nikomu nie odmówił pomocy.

Utkwiło mi w pamięci wspomnienie o ogórku kiszonym i szklance wody podarowanymi małej Bognie na urodziny, lub inne, kiedy to złożona chorobą, otrzymała od mamy polecenie zaczerpnięcia soku z dziurawych pończoch. Z anegdot tych wybrzmiewał w równym stopniu dziecięcy żal, co wdzięczność za zaszczepienie pracowitości i szacunku dla bliźniego, niezależnie od majątku, czy wykształcenia.

Ze szczególnym sentymentem wspominała Babcia wspaniały ogród schodzący aż do Warty, w której bracia zbierali raki, będące przed wojną codziennością polskiego stołu. Do tego ogrodu,

obdarzona wrażliwą naturą, wymykała się w nocy, by kontemplować ciszę, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

Ze śmiechem opowiadała, jak w czasach szkolnych śpiewała przechodniom ulubione piosenki, wychylając się przez okno na piętrze, zapowiadana wcześniej przez swoją siostrę Basię, jako Bogi-Brzezi, w nawiązaniu do rodzinnego majątku Brzeziny, położonego niedaleko wielkopolskich Koszut. Miłości do muzyki dawała Babcia wyraz śpiewem oraz grą na pianinie. Będąc uczennicą gimnazjum grała na organach do mszy św. Wiele lat później, z mężem „Staszkiem”, niecierpliwie wyczekiwała kolejnych edycji Konkursu Chopinowskiego, traktując transmisję jako swoiste święto.

Szczególne przywiązanie do twórczości wielkiego kompozytora wiązało się z głęboką miłością do ojczyzny. Córka powstańca wielkopolskiego – Marii Mierzejewskiej – podczas okupacji hitlerowskiej wysiedlona z rodziną do Czarnocina, kultywowała rodzinne tradycje patriotyczne, działając w konspiracji (Armii Krajowej).

Po wojnie, jako studentka ogrodnictwa na ówczesnym Uniwersytecie Poznańskim, poznała przyszłego męża Stanisława Uram, studenta ekonomii. Poznali się w akademickim Klubie Włóczęgów. Połączyła ich m.in. pasja do gór i zdolność do zachwyty nad pięknem przyrody.



Bogna Mierzejewska-Uram, fot. z archiwum rodziny

Badania do pracy magisterskiej prowadziła Bogna na Podhalu, gdzie zawarła serdeczną znajomość z wybitnym przewodnikiem tatrzańskim Władysławem Gąsienicą-Rojem. Otrzymała w tamtym czasie propozycję pracy w stacji meteorologicznej na Kasprowym Wierchu miała odrzucić, tłumacząc się zbyt wielką miłością do gór, by w nich zamieszkać. Taka była Babcia – miała swoje zdanie i zasady.

W Poznaniu od lat sześćdziesiątych do śmierci zajmowała ładne trzypokojowe mieszkanie przy al. Przybyszewskiego. Małżeństwo wychowało w nim dwoje dzieci Hanię i Marcina.

Dziadek w czasach PRL pracował m.in. jako tłumacz na Targach Poznańskich. Zaprzyjaźnieni Kanadyjczycy zapewniali, że w domu za oceanem tęsknią do jajek faszerowanych Bogny,

niemożliwych do satysfakcjonującego odtworzenia przez ich małżonki. Również w naszej rodzinie „jajka w skorupkach” uchodziły za wielki przysmak i niezawodny pretekst do odwiedzin.

Między innymi za sprawą talentu kulinarnego Bogny, mieszkanie dziadków było przez lata centrum życia rodzinnego. To tutaj spędzaliśmy „Wilię”, świętowaliśmy pierwszą Komunię św. kolejnych wnucząt, spotykaliśmy się na imieninach.

Latem część z tych uroczystości odbywała się na działce na poznańskiej Ławicy. Tam Bogna wykorzystywała wiedzę do fachowej pielęgnacji pięknych kwiatów oraz owoców i warzyw, zdobyta na studiach ogrodniczych.

Oczywiście obok pysznych dań i wypieków nie brakowało też strawy intelektualnej i duchowej. Jako przewodnik PTTK oprowadzała wycieczki po zabytkach Poznania. Również z rodziną, Babcia dzieliła się chętnie i w sposób ciekawy interesującymi zagadnieniami historii naszego regionu. Spotkania towarzyskie nie zwalniały Bogny z obowiązku odmówienia (o godzinie 15.) Koronki do Bożego Miłosierdzia. Swoją żywą wiarą starała się promieniować na bliskich, zachęcając do odmawiania Różańca św.

Tymi słowy Bogna została pożegnana przez swojego syna Marcina na cmentarzu: „Jej hart ducha przeplatał się z prawdziwie chrześcijańską pokorą i miłością bliźniego. Pamięć o Niej będzie nie- dościgłym przykładem i inspiracją dla wszystkich, którzy ją znali i kochali. Bo nie sposób było jej nie kochać”.

Do zobaczenia Kochana Babciu!

Barbara JAHNS

Bogna

Bognę Mierzejewską-Uram poznałam latem 1995 roku. Przyjechała z Poznania. Opowiadała, że z wielkim wzruszeniem przekraczała progi naszego muzeum, miejsca w którym spędziła dzieciństwo i młodość. Przywiozła swoją Rodzinę, by pokazać swój rodzinny dom i upewnić się, że budynek dobrze służy mieszkańcom miasta i spełnia swoje kulturalne funkcje.

Miałam ogromne szczęście, że tego dnia mogłam osobiście oprowadzić Szanownych Gości. Mówiąc o historii muzeum i budynku, w którym się mieści (tzw. Rejentówce) wspomniałam naturalnie o rodzinie Mierzejewskich. Pani Bogna Uram z Mierzejewskich zareagowała spontanicznie. Była zaskoczona, że znam historię tego domu. Przedstawiła się i poznałam wówczas Jej Rodzinę.

Bogna Mierzejewska-Uram i Barbara Jahns, fot. z archiwum Barbary Jahns



Natychmiast zachęciłam i zaproponowałam pisanie wspomnień i tekstów do naszej „Gazety Śremskiej”. Ku mojej radości chętnie się zgodziła. I od tego momentu współpraca z muzeum i gazetą „kwitła”. Pierwszy artykuł Bogny ukazał się już w listopadzie 1995 roku. Był to: Mój rok 1939. Potem były kolejne teksty, często w kilku częściach: Wysiedlenie; Czar wspomnień; Mój dom; Wyzwolenie i szereg innych. Współpraca trwała wiele lat, ku radości czytelników. W artykułach przewijała się nostalgia za dawną urodą świata, w którym wartości estetyczne zawsze łączyły się z wartościami etycznymi. Wierzyła mocno, że otwartość, dobroć i życzliwość potęgują ludzki charakter i czynią go niezwykłym, a obcowanie z pięknem ugruntowuje cechy charakteru człowieka. Jej teksty stanowią dokument, rodzaj pamiętnika czy prywatnej oceny czasów. Mają postać niezwykłych wspomnień, które traktować można jako dokument epoki.

Bogna była wielką erudytką, osobą bardzo czytanną, znającą doskonale historię Polski i naszego regionu. Wielokrotnie dawała temu wyraz podczas spotkań z cyklu: „Książka z autografem”. Czynnie włączała się do dyskusji i zadawała interesujące pytania autorom historycznych publikacji. W tym czasie przy Muzeum działał Klub Historyczno-Krajoznawczy. Często organizowaliśmy sobotnie wyjazdy, które miały na celu poznawanie Wielkopolski. Podczas jednej z licznych wypraw była naszą przewodniczką po Gnieźnie i Lednicy. Słuchaliśmy Jej z zapartym tchem. Uważała, że „muzeum” ma dar „gromadzenia” ciekawych ludzi. Toteż chętnie uczestniczyła wraz z mężem Stanisławem Uram oraz rodziną w spotkaniach i wystawach (np. spotkanie z prof. Stefanem Stuligroszem czy Igo Mosiem, założycielem Muzeum Henryka Sien-

kiewicza w Poznaniu i wielu innych). W jednym ze swoich tekstów z 2002 roku pisała, że kiedy tylko ma wolną chwilę to jedzie do Śremu, aby włączyć się czynnie w podejmowane nowe inicjatywy Muzeum.

Czasami wsiadała w autobus bez okazji, od tak, z teką nut i przyjeżdżała z Poznania do rodzinnego domu, by w „salonie Sałacińskiego” zagrać na pianinie. W ten sposób „ładowała akumulatory”. Bogna, to także wielkie serce otwarte na los i cierpienie drugiego człowieka. Jej niezwykła wrażliwość nie miała sobie równych. Sama tej dobroci serca doświadczyłam. Po śmierci mojej mamy (1999) otoczyła mnie szczególną troską. Dzięki Jej duchowemu wsparciu i okazywanej przyjaźni, łagodniej przeszedłam przez czas żałoby. Napisała wtedy wiersz upamiętniający odejście mojej mamy. Każdego dnia dzwoniła. Troszczyła się o mnie i o zdrowie mojej rodziny. Wspierała dobrym słowem. Dzieliła się doświadczeniem. Często wypieśniała mi czas swoimi opowiadaniem, wspomnieniami i wiedzą historyczną. Z czasem zrozumiałam, że muszę „wazyć słowa” gdy opowiadam. Wszystko sprawiało, że okazywała troskę i bardzo się przejmowała. Nazywała mnie swoją przyjaciółką i kazała mówić po imieniu. To był dla mnie zaszczyt. Kiedy zdrowie nie pozwalało Jej podróżować często dzwoniła, by usłyszeć co w Śremie, co dzieje się w muzeum, co u pracowników muzeum i ich rodzin. Miała fascynującą osobowość, doskonałą pamięć i ciekawość świata.

Parę ostatnich lat nie miałam już z Nią osobistego kontaktu. Na zawsze pozostanie w sercu, myślach i wdzięcznej pamięci. Zostały wspomnienia i historia zapisana na stronach „Gazety Śremskiej”. Posłużą kolejnym pokoleniom jako zapis kronikarski dziejów.

Tomasz SZYMAŃSKI

Rodzina Senftleben

Historia, którą chciałbym opowiedzieć rozpoczyna się w trudnych czasach, kiedy Polska z powodu rozbiorów znika z map Europy. Wtedy to miasto Śrem, po latach stagnacji ponownie zaczyna zyskiwać na znaczeniu. Przez zaborcze władze pruskie zostaje wyznaczone na miasto powiatowe, co na pewno dodało splendoru, ale do nabrania faktycznego znaczenia jeszcze daleka droga. Śrem był miastem stosunkowo małym, li-

czącym niecałe 1500 mieszkańców, borykał się też z problemami mieszkaniowymi, gospodarka prowadzona była w starym, nierentownym stylu. Nowo powstałe organy administracji pruskiej borykały się zarówno z pozyskiwaniem odpowiedniej kadry, jak i z brakiem budynków do ulokowania urzędów. Problemem było także zakwaterowanie urzędników oraz wojska. Część obiektów administracyjnych została tymczasowo

Budynek poczty z widoczną przy wejściu skrzynką pocztową, ok. 1895 r., fot. z arch. T. Szymańskiego





Helena i Hermann Senffleben przed starym domem w Zaborowie, ok. 1904 r., fot. z arch. T.Szymańskiego

usytuowana w Kórniku. W latach 1793-1815 mamy do czynienia z dosyć niestabilną sytuacją, w której zmienia się przynależność, a to na rzecz Prus, następnie odzyskana suwerenność w ramach Księstwa Warszawskiego; po klęsce Napoleona pod Moskwą, popadamy ponownie w niewolę tym razem rosyjską. Od 1815 roku na podstawie umowy zawartej na Kongresie Wiedeńskim, Śrem wraz z częścią Wielkopolski wraca pod panowanie pruskie. To niezwykle ciekawy czas – zmienia się świat, następują zmiany w gospodarce, stosunkach własnościowych, wieś zostaje uwolniona z pańszczyzny, a przemysł nabiera rozpędu. Tak rozpoczyna się wiek XIX. Śrem jako miasto również potrzebuje takiego impulsu, ale jak już wyżej wspomniałem dysponuje dosyć ograniczonymi zasobami kadrowymi. W początkowym okresie zaborów w ramach administracji wyznaczani są miejscowi Polacy, z czasem do miasta zaczynają napływać nowi mieszkańcy, bardzo wielu z nich to rdzenni Niemcy. Niestety nie można odtworzyć dokładnych przepływów, ale na podstawie dostępnych źródeł wiemy, że w roku 1816 w mieście było ok

1314 katolików, 441 żydów, 119 ewangelików, a w roku 1837 znajdujemy informację o 1550 katolikach, 907 żydach i 674 ewangelikach. Ewangelicy z powodu braku kościoła początkowo należeli do zboru w Książu. Zakłada się, że większość katolików to Polacy, a ewangelików to Niemcy. Nie jest to zapewne 100% relacja, ale niewiele odbiegająca od prawdy. Jedną z osób chcących poprawić swój los jest młody, pochodzący z Bolesławca Niemiec – Carl Daniel Senffleben

W roku 1793, jak wiemy z opowieści jego prawnuczki Heleny Klary, Carl Daniel Senffleben, pakuje swój dobytek i wyrusza do Wielkopolski. Pierwotnie osiada w okolicach Szamotuł. Tam uzyskuje koncesję na prowadzenie działalności pocztowej. Wiąże się z tą branżą na długie lata, a w zasadzie na kolejne pokolenia. W 1799 roku rodzi mu się syn Wilhelm Ferdinand Senffleben, który będzie kolejnym ogniwem w pocztowej rodzinnej machinie. Niestety nie wiadomo, w którym roku, (przypuszczam, że po 1815) rodzina przenosi działalność w bardziej intratne miejsce – do Zaniemyśla. Posiadając już spore doświadcze-



Zaborowo p. Książ.

Oskar i Charlotta Senffleben przed pałacem w Zaborowie, pocztówka z arch. T. Szymańskiego

nie, szybko wykorzystuje powstałe możliwości. W obszarze działalności pocztowej Carla jest obsługiwane linie złożonej z dwóch ważnych miast – Poznania i Kalisza, oraz wszystkich mniejszych miejscowości na trasie i w bezpośredniej okolicy. Obsługa poczty obejmuje przewóz konnymi dyliżansami nie tylko przesyłek, ale też ludzi. Zaprzęg to wóz, ciągnięty przez cztery konie. Na lewym koniu w tylnej parze siedział woźnica. Trasa była trudna, rozpoczynała się w Poznaniu i wiodła przez Kórnik, Zaniemyśl, Książ Wielkopolski, Borek, Kalisz i z powrotem, po drodze była niebezpieczna przeprawa przez rzekę Wartę, pomiędzy wsiami Kępa i Zaborowo. Prawdopodobnie właśnie problemy związane z trudną przeprawą, spowodowały decyzję o szukaniu innego miejsca. W Śremie, po wielkich perturbacjach, wybudowano w 1819 roku nowy most, ale jak wspominałem wyżej, miasto było dosyć ubogie w infrastrukturę i ręce do pracy. W 1824 roku syn Carla, Wilhelm Ferdinand, żeni się z Caroline Amelią z domu Reich. Nie wiemy kiedy następuje przejście firmy przez Wilhelma, ale to on staje się centralną postacią w tej rodzinie

i biznesie, widać to chociażby po ilości dzieci jakie trzymał do chrztu. W rodzinie Caroliny i Wilhelma także rodzą się dzieci: córki Emilie i Clara oraz syn Hermman. Nie wiadomo co było przyczyną, może były to tylko względy praktyczne, ale w roku 1836 notujemy ostatnie informacje o tej działalności rodziny Senfflebenów w Zaniemyślu. Od 1836 roku pojawiają się informacje o urzędzie pocztowym w Śremie, pod nazwą Königliche Post-Annahme-Expedition, po lewej stronie Warty, tuż przy moście, pod numerem 37. Był to początkowo budynek pocztowo-mieszkalny, z czasem powstała cała infrastruktura potrzebna do prowadzenia działalności związanej z konnym przewozem poczty i ludzi, a więc wozownie, stajnie, stodoły, kuźnia. W późniejszym czasie powstają też mieszkania dla osób pracujących dla Senfflebenów. Obiekty te istnieją do dnia dzisiejszego, nazywa się je domami pocztowymi. Budynek poczty i dom pocztmistrza to znany nam doskonale budynek biblioteki przy moście. Pojawiająca się nieścisłością jest imię pocztmistrza, w wielu opracowaniach figuruje jako Ferdinand, jest to jednak jego drugie imię.

Dla opowieści nie ma to większego znaczenia, choć zaobserwowałem pewną prawidłowość – najstarszemu synowi w każdym pokoleniu jako drugie imię nadawano imię dziadka. Być może ktoś będzie potrafił dopisać część tej opowieści, ponieważ wiemy, że rodzina Senfleben zakupiła też tereny rolne nieopodal Śremu – około 100 mórg bogatego w glinę obszaru. Teren ten obecnie znany nam jest jako dzielnica Śremu nosząca nazwę Helenki. Nazwa ta ponoć została nadana na cześć żony Hermana Senflebena – Heleny Elizabeth z domu Kuziel. Na terenie obecnego osiedla Helenki rodzina Senfleben oprócz działalności rolniczej prowadziła też cegielnię, czy raczej jak nazywała to miejsce wnuczka Hermana, także Helena, ceglarnię. W przekazach rodziny Senfleben istnieje informacja, że z wyprodukowanych tam cegieł zbudowane zostały wszystkie obiekty pocztowe, jednak mam co do tego wątpliwości. Kilukrotnie rodzina Senfleben wspominana jest w historycznym opracowaniu *Dzieje Śremu*, gdzie przywołuje się między innymi system pracy w cegielni od 5:30 do 12 i od 14 do 19:30 czyli aż 12 godzin – a ma to miejsce przed wybuchem I wojny światowej. W *Dziejach Śremu* znajdziemy też informację odnalezioną w archiwach przez Jana Horowskiego, iż Herman Senfleben zawarł w roku 1877 odpłatną umowę z miastem na wynajem w razie potrzeby koni zaprzęgowych dla Miejskiej Straży Pożarnej, która posiadała sprzęt i ludzi, ale nie miała swoich koni. Nic co dobre nie trwa wiecznie... Z nastaniem kolei w 1885 roku, dylizanse powoli przestawały być potrzebne. W 1890 roku na śremskim rynku powstał nowy budynek Poczty i rodzina Senflebenów przestaje już kontrolować pocztę w Śremie. Jednak w zbiorach rodziny znajduje się srebrna patera z okazji 100-lecia poczty w z 1895, co wskazywałoby na to, że związki rodziny z pocztą nadal trwały. Cegielnia prosperuje doskonale, miasto przeżywa rozkwit. To jednak za mało dla utrzymania rodziny na poziomie do jakiego przywykli.

Przewidując koniec interesu, który pozwolił wzbogacić się trzem pokoleniom, Hermman Senfleben zaczął szukać nowych możliwości. Na horyzoncie pojawiła się propozycja zakupu majątku ziemskiego. Pośrednikiem był znany śremski żydowski kupiec Samuel Mittwoch. W roku 1882 za cenę 139000 talarów nabywa od

rodziny Rymarkiewiczów majątek ziemski w Zaborowie wraz z folwarkiem Józefowo. Miejsce to było im doskonale znane z czasów kiedy jeździli tam z pocztą i przeprawiali się przez rzekę Wartę. Hermman Senfleben nie był rolnikiem, był człowiekiem interesu, ale miał od kogo czerpać wiedzę. Jego szwagrem był jeden z najlepszych właścicieli majątków ziemskich, gospodarujący w Nochowie pod Śremem – Ernst Kinder. Po jego śmierci gospodarstwo prowadziła jego siostra – Clara. W Nochowie do chwili obecnej zachował się wzniesiony przez tę rodzinę dom zwany Kinderówką. Syn, Oskar Wilhelm Senfleben (rocznik 1876), po ślubie z Charlottą z domu Grunnberg zamieszkał w Zaborowie i przejął gospodarstwo. Jego profil wzorowany był na tym z Nochowa. W latach 1905-1907 wybudowano tam nowy dom, zwany przez miejscowych pałacem, bardzo nowoczesny jak na tamte czasy, ze wszystkimi wygodami tzn. z centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą, elektrycznością. Dodać należy, że we wsi Zaborowo prąd pojawił się dopiero w 1958 roku.

Oskar jak przystało na członka rodziny Senfleben był dobrym gospodarzem, ale Hermman trzymał wszystko mocną ręką, nawet narodziny wnuków miał pod kontrolą i odbywały się one w starym domu w Śremie. Oskar i Charlotta mieli troje dzieci: syna Otto Hermmana, córkę Helenę Klarę i syna Oskara Hansa Waltera, który umarł zaledwie dwa dni po urodzeniu.

Kiedy Polska odzyskuje wolność, wielu Niemców, w tym rodzina Senfleben postanawia jednak zostać. Kinderowie oddają Nochowo (powstaje tam w późniejszym czasie Spółdzielnia „Spójnia”), ale także pozostają w Polsce, jako dzierżawcy majątku Książek (mało wiem o tej rodzinie, będę wdzięczny za informacje). Książek i Zaborowo dzieli zaledwie kilka kilometrów, dlatego możliwa była współpraca. W roku 1905 zmarła Helena Elizabeth. Jej mąż Hermman zmarł w 1924, przynajmniej tak twierdziła wnuczka Helena Klara, która miała wówczas 10 lat i uwielbiała słuchać opowieści dziadka o pocście i starym Śremie. Wśród społeczności Zaborowa, Senflebenowie cieszyli się dobrą opinią. Dobrze wspominają ich pracownicy folwarku i miejscowi rolnicy. Opowiadali z jakim szacunkiem zwracał się do nich dziedzic pytając „drogi sąsiedzie, czy mogę postawić stopę na



Akwarela sprzed 1895 r., zbiory prywatne

twojej ziemi”. W zbiorach posiadam listy z informacjami, że nie zawsze te relacje były tak dobre, jednak ogólnie oceniani byli raczej pozytywnie. W 1939 roku, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach zginął młody Otto Hermman. Był on ostatnią osobą z kilkupokoleniowej rodziny pochowaną na ewangelickim cmentarzu w Śremie. Niestety po tym miejscu nie ma już śladu, obecnie mieszczą się tam warsztaty samochodowe Jednostki Wojskowej. Oskar wraz z żoną prowadzili gospodarstwo aż do 1945 roku, kiedy to zmuszeni byli uciekać przed nadciągającą Armią Czerwoną. Przed wyjazdem wezwał on wszystkich pracowników folwarcznych, wręczył klucze od pałacu Tomaszowi Pawłowskiemu swojemu włodarzowi i powiedział, żeby dbali o majątek, bo niebawem wróci. Kilkoma wozami ciągniętymi przez konie wyjechali do Niemiec. Wóznikami byli ich pracownicy folwarczni, którzy powrócili po kilku miesiącach do domów.

Z materiałów które udało się odnaleźć jednemu ze śremskich regionalistów wiemy, iż Oskar Wilhelm Senfleben napisał po wojnie pismo do starosty śremskiego z zapytaniem, czy istnieje szansa, aby powrócił. Na świadków swojej przy-

zwoitości i dobrych intencji powoływał zaborowskich pracowników. Jak łatwo się domyślić, odpowiedź była negatywna. Niestety nie udało się obronić Panu Pawłowskiemu pałacu. Czerwonoarmiści nie pytali o klucze, drzwi rozwalano kolbami, cenne rzeczy wywieziono, część zniszczono na miejscu, na przykład piękny żyrandol, którego mieniające się szkiełka długo jeszcze służyły dzieciom w Zaborowie do zabawy. Pozostałe sprzęty zostały zagrabione przez miejscowych notabli, krążą plotki, że można je jeszcze spotkać w niektórych domach. Dobytek żywy – krowy, świnie, konie, zostały wywiezione na wschód, a część została przez wojsko po prostu zjedzona.

Tekst powstał w oparciu o materiały i opowieści pozyskane od rodzin: Senfleben, Steppuhn, Tomczyków, Szymańskich, M. Bartkowiaka i in. Wielką pomocą służył nieżyjący Teodor Tomczyk. Korzystałem też ze źródeł takich jak: *Dzieje Śremu, Majątki Wielkopolskie. Tom VII. Powiat śremski*, zbiorów Archiwum Państwowego w Poznaniu, internetu, korespondencji Teodora Tomczyka i własnej z rodziną Steppuhn/Senfleben.

Tadeusz RZEPKA

Życie polskich mieszkańców Jarocina podczas II wojny światowej

W 1939 roku w chwili wybuchu wojny Jarocin był miastem „czysto polskim”. Na ogólną liczbę ponad 9 tysięcy mieszkańców było tylko 145 Niemców i 50 Żydów. Wielkopolska w październiku 1939 roku przemianowana została na „Kraj Warty” i włączona (w tym również Jarocin) do Rzeszy Niemieckiej. Konsekwencją tego była intensywna germanizacja. Rozpoczęła się od wywiezienia Żydów do getta w Łodzi. Elementem polityki germanizacyjnej było wysiedlenie z Kraju Warty do Generalnej Guberni tych Polaków którzy mogliby najbardziej przeszkodzić w procesie germanizacji. Jako mający duży wpływ na nastroje społeczne uznano: ziemianstwo, duchowieństwo, nauczycieli przemysłowców. Te grupy społeczne przeznaczono przede wszystkim do wysiedlenia. Z Jarocina pierwszy transport wysiedlonych, w którym było 1202 osób wyruszył w dniu 9 grudnia 1939 roku. Celem było Opoczno i okolice. Drugi transport, obejmujący 412 wysiedlonych, wyruszył z Jarocina również do Opoczna w dniu 22 marca 1940 roku. Polacy, którzy pozostali (a było ich ponad 7 tysięcy) narażeni byli na nieustanne represje. Rozpoczęło się od konfiskaty samochodów i motocykli. Posiadających odbiorniki radiowe zmuszono do oddania ich w Urzędzie Miasta. Tym, którzy odbiorników radiowych nie oddali, groziła kara więzienia. Polakom zabroniono wstępu do kina, kawiarni i restauracji. Kościół Chrystusa Króla zamieniono na magazyn mebli. Również na magazyn zamieniono kościół Franciszkanów. Kościół Świętego Marcina będący własnością księcia Radolina był w początkowych latach wojny otwarty, lecz tylko dla Niemców. Zlikwidowano polskie biblioteki. Zamknięto drukarnię i redakcję miejscowej gazety. Polacy mieli bardzo ograniczone możliwości przemieszczania się.

Można było wyjeżdżać z miasta tylko po uzyskaniu przepustki. Zlikwidowano wszystkie polskie szkoły. Naukę szkolną dla polskich dzieci ograniczono do trzech lat. Prowadzona ona była tylko w języku niemieckim. Do szkoły zobowiązane były chodzić dzieci od dziewiątego do dwunastego roku życia. Nauka odbywała się w oddalonej od centrum szkole w Ciświcy. Do szkoły dzieci musiały chodzić pieszo. Nie można było ich dowozić. Po ukończeniu dwunastu lat dzieci musiały podjąć pracę. Moja kuzynka zaraz po ukończeniu trzyletniej szkoły została zatrudniona jako pomoc domowa w niemieckiej rodzinie... i musiała pracować po 12 godzin dziennie. Nauka języka polskiego była zakazana. Groziła za to kara więzienia. Mimo to prowadzono tajne nauczanie. Aby nie budzić podejrzeń uczący spotykali się tylko z jednym uczniem. Ja też uczyłem się czytać i pisać po polsku na „niby przypadkowych” spotkaniach z emerytowaną nauczycielką z Nowego Miasta. Nie powiedziano mi nazwiska tej pani abym przez przypadek nie zdradził osobom niepowołanym. Dzieci w szczególności z rodzin mieszanych polsko-niemieckich wysyłano do rodzin niemieckich na zniemczenie. Miałem starszą koleżankę, córkę znajomych moich rodziców, której ojciec był Polakiem a matka z pochodzenia Niemką. Po śmierci matki dziewczynkę odebrano ojcu i przekazano niemieckiej rodzinie w Halle. Po zakończeniu wojny, czując się Polką zgłosiła się do działającej w Halle Polskiej Misji Wojskowej, prosząc by pozwolono jej wrócić do Polski do Jarocina. Po powrocie do rodziny, do ojca i ciotki okazało się, że przez lata przebywania w Niemczech zupełnie zapomniała języka polskiego. Zabawne, że z dzieciństwa pozostały jej w pamięci tylko dwa polskie słowa: nożyczki i Witaszyczki.



Wysiedlenia, fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Jarocinie

Formą represji w stosunku do Polaków były ograniczenia dostępu do żywności. Żywność była tylko na kartki. Kartki dla Polaków pozwalały nabyć o 30% mniej artykułów niż otrzymywali na kartki Niemcy. Niektóre produkty jak np. mięso, cukier lub masło były dla Polaków niedostępne. Ze względu na to, że wieś w znacznym stopniu była zasiedlona przez rolników Niemców, polscy rolnicy byli pod stałą obserwacją. W praktyce oznaczało to, że nie było „czarnego rynku” jak w Generalnej Guberni. Z niedostępnością niektórych ważnych artykułów żywnościowych próbowano sobie radzić różnymi sposobami. Braki mięsa uzupełniano poprzez bardzo rozpowszechnioną hodowlę królików. Potrzebna do ich hodowli karma była łatwo dostępna. Trawa rosła na okolicznych łąkach, ziemniaki były łatwo dostępne, a ponad to karmę można było wzbogacić siemieniem lnianym przynoszonym z Zakładów Lniarskich. Brak cukru rekompensowano melasą cukrową przynoszoną z cukrowni w Witaszyczach. Systemem domowym robiono nawet słodczyce. Popularna była receptura wy-

twarzania marcepanów. Głównym ich składnikiem były ugotowane ziemniaki, które mieszało się z melasą cukrową, dodawało olejku migdałowego formowało w kulki rozmiaru pingpongowej piłeczki i posypywało sztucznym kakao. Masło zastępowała margaryna. Nie było wolno hodować świń i zabijać na własny użytek. Za samowolne świniobicie groziła kara śmierci. Słyszałem o takim przypadku. Rolnik z Wysokotowa został nakryty przez policję gdy „oprawiał” świnie. Sąd skazał go na karę śmierci i wyrok wykonano. Już w pierwszym roku wojny kupcom odebrano sklepy. Miejsce właścicieli zajęli niemieccy zarządcy.

Podobnie postąpiono z rzemieślnikami. Kupców i rzemieślników zatrudniono jako pracowników w ich własnych sklepach i warsztatach lub jako robotników w tworzonych i budowanych zakładach przemysłowych.

W tym czasie w Jarocinie w Strzelnicy Bractwa Kurkowego powstały zakłady odzieżowe. Fabryka maszyn rolniczych Braci Rutkowskich została przekształcona w fabrykę mebli, a w budynkach



Wnętrze kościoła Chrystusa Króla zamienione na magazyn, fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Jarocinie

Klasztoru Franciszkanów uruchomiono produkcję drobnych elementów do samolotów. W Witaszyczkach wybudowano wielkie zakłady roszerownicze. Dla osiedlających się w Jarocinie Niemców wybudowano kilkanaście domów wielorodzinnych. Dla zaangażowanych przy budowach Niemców z tzw. służby pracy powstały dwa osiedla baraków. Jedno z nich mieściło się za cmentarzem ewangelickim przy drodze do Gostynia, drugie natomiast za gazownią, przy drodze do Poznania. W ciągu całego okresu okupacji następował stały napływ Niemców do Jarocina. W 1944 roku w Jarocinie mieszkało około 4600 Niemców co stanowiło 35% ogółu mieszkańców. Polacy pozostali jednak grupą dominującą. Aby pomieścić napływających do Jarocina Niemców, poza wspomnianą już budową przeznaczonych dla nich nowych domów, wysiedlano Polaków z mieszkań o wyższym standardzie. Największa akcja wysiedlania Polaków miała miejsce w dniu 10 listopada 1940 roku. Zmuszono wówczas do opuszczenia mieszkań 112 polskich rodzin (około 650 osób). Pośród wysiedlonych

znalazła się również nasza rodzina. Wysiedlone rodziny lokowano głównie w nowym osiedlu składającym się z bardzo prymitywnych baraków bez wodociągów i kanalizacji, zlokalizowanym pod lasem za klasztorem Franciszkanów.

Po wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim, gdy straty Niemców na froncie wschodnim były duże, zamieniono koszarę na szpital wojskowy. Pod koniec wojny na szpitale wojskowe zamieniono budynek liceum i kilka innych budynków w mieście. W szpitalach tych personel techniczny składał się z Polaków. Również Polki pracowały jako salowe.

Ze względu na dużą ilość Niemców mieszkających a Jarocinie oraz okolicznych wioskach, ograniczone możliwości przemieszczania się, stałą inwigilację środowisk, w których pracowali Polacy, surowo egzekwowany zakaz gromadzenia się i organizowania większych spotkań rodzinnych, utrudnione było organizowanie i prowadzenie działalności konspiracyjnej. Mimo to, już pod koniec 1939 roku powstają dwie tajne organizacje. Ze środowiska harcerskiego wywo-



Rynek w Jarocinie w czasie okupacji, fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Jarocinie

dzi się Tajna Organizacja Wojskowa, natomiast członkowie Stronnictwa Narodowego zakładają Narodową Organizację Wojskową. Organizacje te prowadzą nasłuch radiowy i organizują opiekę społeczną. W roku 1942 zostają one wcielone do Armii Krajowej.

Sprzyjające okoliczności nawiązywania wzajemnych kontaktów powstają gdy w Niemczech nasilają się alianckie bombardowania. Wówczas w celu ograniczenia negatywnych skutków ewentualnych nalotów, w Jarocinie zostaje rozbudowana straż pożarna, w skład której wchodzi również Polacy. Z pomocą Polaków budowane są w mieście zbiorniki przeciwpożarowe. Z opowieści rodzinnych wiem, że w straży pożarnej związała się organizacja konspiracyjna o nazwie „Dla Ciebie Polsko” do której należał również mój ojciec. Członkowie jej zajmowali się nasłuchem radiowym, kolportowali konspiracyjne pisma oraz zbierali środki finansowe z przeznaczeniem na pomoc dla rodzin osób uwięzionych.

W sierpniu 1942 roku organizacja ta zostaje zdekonspirowana, a jej członkowie uwięzieni. Jednocześnie, w tym samym dniu, aresztowano 17 osób. Śledztwo prowadzono w Forcie VII w Poznaniu, natomiast proces członków organizacji odbył się we Wrocławiu. Aż pięciu spośród sądzonych zostaje skazanych na karę śmierci, a pozostali na długoletnie więzienia. Ponury jest bilans represji.

Spośród Polaków, którzy w okresie wojny mieszkali w Jarocinie w masowych egzekucjach zginęło 31 osób; w obozach koncentracyjnych zginęło 114 osób, a w więzieniach 157 osób. Łącznie ofiarami działalności konspiracyjnej w Jarocinie były 302 osoby.

Michał LORENC

Wielkopolski Park Narodowy – żywe muzeum form polodowcowych

Na tropach lodowca... Część 16

W cyklu artykułów *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* już od blisko trzech lat wspólnie odkrywamy tytułowe tropy pozostawione na ziemi śremskiej przez lądolód skandynawski. To on był głównym bohaterem naszych kolejnych spotkań na łamach „Gazety Śremskiej”. Często tytułowany mianem znakomitego rzeźbiarza terenu, gdyż to on stworzył różnorodne formy rzeźby polodowcowej. Stanowią one najbardziej widoczne tropy lądolodu. Podążanie tymi tropami nie mogło się zakończyć inaczej, jak dotarciem do Wielkopolskiego Parku Narodowego. Co prawda, znajduje się on poza ziemią śremską, rozumianą w tym cyklu artykułów jako najbliższa okolica Śremu, ale ranga tego obiektu nie pozwala na jego przeoczenie.

Mapa. Położenie ścieżki dydaktycznej Na tropach lądolodu i jej kolejnych przystanków (od 1 do 11)



Cofnijmy się do dwudziestolecia międzywojennego. Teren obecnego Wielkopolskiego Parku Narodowego przemierzał wówczas botanik, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, Adam Wodziczko (1887-1948). Zwrócił uwagę na jego szczególne walory przyrodnicze. Na lasy, florę jezior, a także na wyjątkowo dobry stan zachowania polodowcowej rzeźby terenu. Profesor Wodziczko nazywał ten obszar „perłą wielkopolskiego krajobrazu” oraz „żywym muzeum form polodowcowych”. Już w roku 1922 wystąpił z postulatem utworzenia Wielkopolskiego Parku Narodowego. Niestety, ówczesne realia nie przyniosły zrozumienia władz dla tej idei. Wystarczy zdać sobie sprawę, że w owym czasie w Polsce nie istniał żaden park narodowy. Nie było również zdecydowanej większości parków narodowych istniejących obecnie na świecie. Jedynie co udało się osiągnąć do wybuchu wojny, to wyłączenie części lasów obecnego Parku z intensywnej eksploatacji oraz utworzenie dwóch rezerwatów przyrody w dniu 16 kwietnia 1932 roku. Nowy etap starań o utworzenie parku narodowego rozpoczął się po zakończeniu wojny. W 1948 roku Wojewoda Poznański wydał rozporządzenie o ochronie krajobrazu i tworów przyrody na terenie projektowanego parku. W tym samym roku niespodziewanie umiera prof. Wodziczko. Jego starania o utworzenie parku narodowego kontynuowali uczniowie i współpracownicy profesora, przy poparciu lokalnych społeczności. Ostatecznie Wielkopolski Park Narodowy doczekał się formalnego utworzenia w dniu 16 kwietnia 1957 roku. Oficjalne starania o park trwały zatem 35 lat! Obecnie powierzchnia Parku wynosi 7584 ha, znajdując się w granicach sześciu gmin: Stęszew, Komorniki, Mosina, Puszczykowo, Dopiewo i Luboń. W granicach



Fot. 1. Wieża widokowa na Osowej Górze przy zbiorniku poeksploatacyjnym

Parku znajduje się 18 obszarów ochrony ścisłej, a także pięć znakowanych szlaków turystyki pieszej o łącznej długości 85 km. Udostępniono ponad 100 km dróg dla rowerzystów oraz 30 km dla miłośników hippiki. Co na tych szlakach i ścieżkach znajdzie turysta podążający śladami lądolodu? Jak się poruszać po terenie Parku, by dostrzec najlepiej zachowane formy rzeźby polodowcowej? Gdzie zacząć, a gdzie skończyć wędrówkę?

Będąc w Mosinie bez trudności dostrzeżemy wysokie, zalesione wzniesienia po północnej stronie miasta. Stanowią one południową granicę Wielkopolskiego Parku Narodowego. Jest to Wał Pożegowski (Mapa). Tworzą go wzniesienia zwane morenami czołowymi. Jak pamiętamy, formy takie powstają tuż przed czołem lądolodu. Zazwyczaj w wyniku nagromadzenia ogromnych ilości wytopionej z lodu gliny lodowcowej. Wzniesienia moren czołowych Wału Pożegowskiego powstały jednak inaczej. Są rezultatem wyciśnięcia przez lądolód iłu, z głębokości nawet kilkudziesięciu metrów. Stało się to za sprawą ogromnego

ciężaru lądolodu i jednocześnie plastycznych własności iłu. Moreny czołowe Wału Pożegowskiego są najwyższymi wzniesieniami po południowej stronie Poznania. Ich kulminację stanowi Osowa Góra (132 m n.p.m.). Na jej szczycie znajduje się wieża widokowa, z której jednocześnie widoczny jest Poznań i najwyższe obiekty Śremu, jak komin Odlewni Żeliwa oddalony o około 22 km (Fot. 1). Widoczny jest też maszt radiowo-telewizyjny we wsi Góra koło Śremu. Jest to prawdopodobnie jedyne miejsce, z którego jednocześnie widać ziemię śremską i Poznań, od którego dzieli Osową Górę około 16 km. Przy dobrej przezroczystości powietrza widoczność jest jeszcze większa! Patrząc z wieży na Osowej Górze w kierunku Śremu, widoczna jest Pradolina Warszawsko-Berlińska, osiagająca w tym miejscu szerokość kilkunastu kilometrów. W niej położony jest prawobrzeżny Śrem („GŚ” 9-10/2019). Jak pamiętamy, pradolina to rozległe, dolinne obniżenie terenu, utworzone przez ogromne ilości wód roztopowych lądolodu i rzek płynących z południa, które tą drogą odpływały na za-



Fot. 2. Oz bukowsko-mosiński w jego końcowym odcinku zwanym Szwedzkimi Górami

chód. Ich odpływ ku północy blokował bowiem łądolód. Przy wieży widokowej znajdują się zbiorniki poeksploatacyjne. Wypełniają one nieczynne od dziesięcioleci wyrobiska wyciśniętego przez łądolód iłu, tworząc nadzwyczajną sytuację krajobrazową. Warto w tym miejscu przypomnieć, że znakomite przykłady wzniesień moren czołowych na ziemi śremskiej znajdują się w okolicy Dolska („GS” 5-6/2020).

Spod wieży widokowej proponuję przemieścić się kilkaset metrów dalej, na parking leśny na Osowej Górze, na końcu wsi Pożegowo. W tym miejscu rozpoczyna się ścieżka dydaktyczna Na tropach łądolodu, która poprowadzi nas przez najbardziej atrakcyjne pod względem rzeźby terenu obszary Parku. Przy ścieżce znajdziemy 11 przystanków z tablicami informacyjnymi (Mapa). Znajdują się one w miejscach, w których z łatwością dostrzeżemy kolejne formy polodowcowej rzeźby terenu lub inne tropy łądolodu, a wyjaśnienie ich powstania znajdziemy na wspomnianych tablicach. Powstanie ścieżki i opracowanie do nich tablic informacyjnych to rezultat współ-

pracy autora tego artykułu z Dyrekcją Wielkopolskiego Parku Narodowego. Wynikiem tej współpracy jest również przewodnik po powyższej ścieżce, który znajdziemy na podanej na końcu tego artykułu stronie internetowej Stacji Ekologicznej UAM w Jeziorach. Formy polodowcowej rzeźby terenu znajdujące się przy powyższej ścieżce dydaktycznej występują również na ziemi śremskiej. Zostały więc bliżej opisane w artykułach niniejszego cyklu. Artykuły te mogą zatem stanowić znakomite uzupełnienie ścieżki dydaktycznej i powyższego przewodnika po tej ścieżce. Co zatem zobaczymy na ścieżce dydaktycznej Na tronach lądolodu?

Przystanek 1 znajduje się na parkingu leśnym w Pożegowie na Osowej Górze. Opisuje historię ostatniego zlodowacenia. Stanowi zatem wstęp do ścieżki.

Przystanek 2 prezentuje powstanie i budowę moren czołowych Wału Pożegowskiego, w tym Osowej Góry.

Przystanek 3 ścieżki dydaktycznej poświęcony jest głazom polodowcowym. Znajduje się przy



Fot. 3. Jezioro Góreckie (archiwum WNP)

głazie upamiętniającym postać prof. Adama Wodziczki. O głazach polodowcowych na ziemi śremskiej, w tym również o ich wykorzystaniu w celach pamiątkowych, czytaliśmy w jednym z artykułów tego cyklu („GŚ” 7-8/2020).

Przystanek 4 ścieżki znajduje się na ozie. Jak p miętamy, ozy to długie i kręte wały zbudowane z piasku i żwiru zdeponowanego przez wodę płynącą w szczelinach lądolodu. Również na ziemi śremskiej lądolód pozostawił po sobie ozy, szczególnie w rejonie wsi Gaj, Szymanowo i Góra. Na ozie znajduje się wspomniana wieża radioowo-telewizyjna w Górze („GŚ” 11-12/2019). Jednak oz znajdujący się na ścieżce dydaktycznej w Wielkopolskim Parku Narodowym jest wyjątkowy. Jest bowiem najdłuższym ozem w Polsce i jednym z najdłuższych w Europie. Rozpoczyna się w okolicy Buku, a kończy pod Mosiną, na terenie Parku. Stąd jego nazwa: oz bukowsko-mosiński. Osiąga 37 km długości (Fot. 2). Odcinek tego ozu, na którym znajduje się przystanek 4 ścieżki, posiada szczególnie strome i wysokie stoki. Wznoszą się one około 20 m ponad po-

wierzchnię Jeziora Budzyńskiego, ciągnącego się pod stokami ozu. To więcej niż wysokość 4-piętrowego budynku mieszkalnego. Oz ten wygląda w tym miejscu jak gigantyczny nasyp kolejowy. Wędrując po nim możemy obserwować proces zarastania Jeziora Budzyńskiego i powstawanie w jego miejscu torfowiska. Procesy torfotwórcze możemy również obserwować w wielu miejscach na ziemi śremskiej, głównie w otoczeniu jezior, oczek polodowcowych lub starorzeczy w dolinie Warty („GŚ” 11-12/2021). Przystanek 5 ścieżki dydaktycznej znajduje się przy Jeziorze Kociołek, w granicach obszaru ochrony ścisłej o tej samej nazwie. To małe, ale niezwykle urokliwe jezioro znajduje się w kotle podlodowcowym. Stąd nazwa jeziora. Kocioł podlodowcowy to głębokie obniżeniu terenu utworzone przez ruch wirowy wody płynącej pod lądolodem. To jedyna forma rzeźby na ścieżce dydaktycznej, której nie ma na ziemi śremskiej. Tym bardziej warto przyjechać do Wielkopolskiego Parku Narodowego i ją zobaczyć.



Fot. 4. Platforma widokowa przy Jeziorze Góreckim kończąca ścieżkę dydaktyczną

Przystanek 6 ścieżki ulokowano przy największym w Parku obniżeniu wytopiskowym, zatem powstałym w wyniku wytopienia bryły lodu pozostawionej przez zanikający lądolód. W obniżeniu tym znajduje się największe w Parku oczko wytopiskowe, o nazwie Żabiak. Obniżenia wytopiskowe licznie występują również na ziemi śremskiej. Taką genezę posiada zagłębienie terenu, w którym znajduje się oczko wodne w Miejskim Parku Ekologicznym im. Włodzimierza Puchalskiego w Śremie oraz liczne śródpolne i śródlądowe zagłębienia również wypełnione często przez wodę („GŚ” 11-12/2020).

Przystanek 7 jest również poświęcony głazom polodowcowym, natomiast przystanek 8 prezentuje rynną polodowcową. Jak wiemy, jest to długie, głębokie, dolinne obniżenie terenu ukształtowane przez rzekę podlodowcową. To koryto rzeki podlodowcowej. Przez obszar Wielkopolskiego Parku Narodowego przebiegają aż cztery takie rynny. Znajdują się w nich długie i wąskie jeziora rynnowe. Dzięki temu jeziorność Parku jest duża. Najgłębsza jest rynna Jeziora Góreckiego. Wcina

się ona w podłoże na głębokość ponad 30 m. To wysokość 10-piętrowego budynku mieszkalnego! Niemal w połowie rynną tę wypełnia woda Jeziora Góreckiego, najgłębszego (17m) i najbardziej urokliwego jeziora w Wielkopolskim Parku Narodowym (Fot. 3). Jest ono „udekorowane” dwoma wyspami. To właśnie wzdłuż tego jeziora wiedzie końcowa część ścieżki dydaktycznej Na tropach lądolodu. Rynny polodowcowe i obecne w nich jeziora posiadają również ogromny wpływ na krajobraz ziemi śremskiej. Wspaniałym przykładem jest wąska, głęboka i długa rynna polodowcowa z Jeziorem Grzymsławskim („GŚ” 7-8/2019).

Przystanek 9 ścieżki dydaktycznej ukazuje efekty rozcinania stromego stoku rynny polodowcowej przez spływającą wodę opadową i roztopową. W rezultacie powstają dolinki erozyjne. Można je również spotkać na ziemi śremskiej, np. w stromych stokach pradoliny lub właśnie rynien polodowcowych.

Dwa ostatnie przystanki ścieżki edukacyjnej znajdują się na platformie widokowej przy brze-

gu Jeziora Góreckiego (Fot. 4, mapa). Pierwszy z nich kontynuuje temat rynien polodowcowych i jezior rynnowych w Wielkopolskim Parku Narodowym. Natomiast przystanek 11, czyli ostatni, poświęcono urokliwej Wyspie Zamkowej na Jeziorze Góreckim. Znajdują się na niej ruiny neogotyckiego zamku, doskonale widoczne ze wspomnianej platformy widokowej. Pod względem genetycznym wyspa ta jest kemem. Jak wiemy, kem to piaszczysto-żwirowe wzniesienie w kształcie kopca. Tworzący takie wzniesienie piasek i żwir gromadził się w szczelinie lub przestainie zanikającego lądolodu, a po jego ustąpieniu zachował się, tworząc wspomniane wzniesienie. Wyspę Zamkową stanowi zatem tego typu piaszczysto-żwirowy kopiec, który jednak utworzył się w rynnie polodowcowej, w której następnie powstało Jezioro Góreckie. Z jeziora wynurza się szczytowa część kemu, tworząc Wyspę Zamkową. Wznosi się ona na wysokość około 12 m ponad powierzchnię jeziora. Jakże ciekawy ciąg zdarzeń. Kemy spotykamy również na ziemi śremskiej, szczególnie po północno-zachodniej stronie Śremu, w okolicy Psarskiego, Szymanowa (na kemie znajduje się stacja paliw w Szymanowie), Manieczek, Przylepek (część tej wsi znajduje się na kemie), po Brodnicę. Kilka kolejnych pagórków kemowych znajduje się po zachodniej stronie Jeziora Grzymisławskiego, w okolicy wsi Gawrony (część tej wsi znajduje się na kemie), Międzychodu, a także koło Pinki („GS” 3-4/2020).

Ścieżka dydaktyczna Na tropach lądolodu w Wielkopolskim Parku Narodowym na relatywnie krótkim odcinku pozwala poznać aż 7 form rzeźby polodowcowej, pochodzenie i zróżnicowanie głazów polodowcowych oraz wybrane procesy modyfikujące polodowcową rzeźbę terenu. Tak duże nagromadzenie znakomicie zachowanych form rzeźby polodowcowej stanowi kluczowy walor przyrodniczy Wielkopolskiego Parku Narodowego. Wędrując powyższą ścieżką dydaktyczną przechodzimy bezpośrednio z jednej formy rzeźby do kolejnej, niczym w muzeum, od gabloty, do gabloty z kolejnym eksponatem. Z tą jednak różnicą, że Wielkopolski Park Narodowy to teren cały czas podlegający różnorodnym procesom przyrodniczym stąd, jak to ujął profesor Wodiczko, jest to „żywe muzeum form polodowcowych”. Ścieżka Na tropach lądolodu

wpisuje się w istniejące szlaki turystyczne, więc jest łatwo dostępna. Przebiega obok trzech jezior, oczka wytopiskowego, po stoku moreny czołowej i rynny polodowcowej, po unikatowym ozie bukowsko-mosińskim, korzystając z dwóch platform widokowych. Przejście ścieżki zajmuje około 3 godzin. To znakomita atrakcja na sobotni lub niedzielny spacer, tym bardziej że przed nami miesiące sprzyjające wyjazdom za miasto. To również sposobność, by poznać Wielkopolski Park Narodowy. Jest to najbliższy ziemi śremskiej park narodowy i jednocześnie najwyższy rangą obszar prawnie chroniony w rejonie Śremu. Zachęcając Czytelników do takiego wyjazdu, proponuję wcześniejsze zapoznania się z jeszcze jednym opracowaniem autora niniejszego artykułu, pt: Śladami lądolodu w Wielkopolskim Parku Narodowym. Opracowanie to również znajdziemy na podanej poniżej stronie internetowej Stacji Ekologicznej UAM w Jeziorach. Poza tym, warto spojrzeć na stronę internetową Parku: www.wielkopolskipn.pl.

W ten sposób, w szesnastym artykule tego cyklu, po blisko trzech latach wspólnego odkrywania tropów lądolodu na ziemi śremskiej na łamach „Gazety Śremskiej”, dotarliśmy do końca tej wyprawy. Wierzę, że niniejszy cykl artykułów zwrócił uwagę Czytelników na otaczające nas, jakże liczne i ciekawe ślady lądolodu. Jeszcze nie tak dawno w ujęciu geologicznym, gdyż niespełna 20 000 lat temu, pokrywał on ziemię śremską warstwą o grubości kilkuset metrów, sprawiając, że krajobraz okolicy Śremu przypominał współczesny krajobraz Grenlandii lub Antarktydy. Lądolód całkowicie przekształcił podłoże, na którym zalegał, pozostawiając na nim swoją specyficzną rzeźbę i utwory, które w kolejnych tysiącletniach miały ogromny wpływ na powstanie jezior, bieg rzek, charakter tworzących się gleb, a w konsekwencji szaty roślinnej. Otaczający nas krajobraz i charakter przyrody ożywionej w ogromnym stopniu stanowią pokłosie obecności lądolodu. Uwarunkowania podłoża pozostawione przez lądolód wywarły także wpływ na lokację Śremu i wielu okolicznych wsi, a następnie na rozwój gospodarczej aktywności człowieka, czemu również poświęcony został jeden z artykułów tego cyklu („GS” 5-6/2021). Zapraszam zatem na szlaki Wielkopolskiego Parku Narodowego i ziemi śremskiej.

Leszek MAŃKOWSKI

Strach

Jestem, więc pytam

„To by znaczyło, że tym, czego się boisz najbardziej, jest... strach”¹. Jest w nas od poczęcia. Rządzi nami, osłabia – i chroni. Strach posiadający swe źródła w instynkcie przetrwania to jedna z podstawowych cech pierwotnych, właściwych nie tylko ludziom. Pojawia się w sytuacjach realnego zagrożenia, jako skutek zapamiętywania i kojarzenia podobnych sytuacji z przeszłości. U ludzi, dodatkowo, czymś co generuje strach jest też zdolność abstrakcyjnego myślenia (decyzja spowoduje coś groźnego w skutkach). Od zarania dziejów o strachu mówią filozofowie, opisując, przedstawiają go artyści, badają naukowcy. Dla polityków jest wygodnym narzędziem władzy. Nauka dzieli strach na czynniki pierwsze, diagnozuje, dokonuje selekcji. W efekcie mamy setki rodzajów strachu – różnorakie lęki, fobie, psychozy czy nerwice. Wszystko wydaje się zbadane, sprawdzone, opatrzone receptami, terapiami, pigułkami. Wydaje się...

Czego się boimy? Jak to sprawdzić, skoro często wstydzimy się mówić o własnym strachu? Nie wypada się do niego przyznawać? Można mówić, że boimy się wojny czy nawet pajaków, ale kto publicznie przyzna się, że paraliżuje go np. wyjście z domu? Bo przecież prezes, dyrektor czy urzędnik, nauczyciel czy student – tacy ludzie nie mogą się bać... Bo strach to słabość? Boimy się bać?

Boimy się chorób, śmierci, biedy, wojny, ludzi, życia, miłości, szkoły, ciemności, pajaków, myszy, węży, dentyści... Ale czy rzeczywiście jest tak, że to te pająki czy hipotetyczna wojna spędzają z powiek sen? Czy prawdziwa przyczyna tkwi na zewnątrz czy wewnątrz nas? Może tak naprawdę boimy się siebie? Że nie damy rady, nie sprostamy, nie potrafimy. Że w dzisiejszym świecie jest wiele prawd i wiele odpowiedzi? Że musimy stale dokonywać indywidualnych wy-

borów, brać za nie odpowiedzialność – a nie wiemy, jakie będą ich skutki? Boimy się żyć, kochać, być uczciwym, prawym?

Jaką rolę w naszym życiu odgrywa strach? Czy jest nam potrzebny? Strach jako element instynktu przetrwania jest czymś naturalnym, chroni przecież przed niebezpiecznymi sytuacjami. Pojawia się zwykle jako sygnał realnego zagrożenia życia czy zdrowia. Właśnie dzięki takim emocjom nasi praprzodkowie, zmuszeni do walki o przetrwanie, mieli szanse, by np. schronić się przed drapieżnikiem.

A więc strach może być dobry. Gdy nie ukrywamy przed sobą, że się boimy, kiedy znamy nasze potrzeby i reakcje – wtedy strach może być naszym sojusznikiem. Można się zgodzić nawet ze stwierdzeniem, że strach może być dla nas pożądanym sygnałem – drogowskim. Dopóki bowiem odczuwamy strach – znaczy to, że podążamy we właściwym kierunku. Odczuwany strach jest naturalną reakcją, pokazującą niczym kompas, co jest dla nas ważne. Boimy się, ponieważ nam zależy. Boimy się, kiedy nam zależy.

Czy nasz strach, jego natężenie zawsze jest adekwatne do zagrożenia? Czy nazbyt często zagrożenie nie jest przez nas wyolbrzymiane? Natężenie strachu rośnie, chociaż realnego uzasadnienia brak. I wówczas strach objawia się jako czynnik negatywny. Nie bez powodu mówi się nawet, że strach jest dla nas najbardziej destrukcyjną siłą. Potrafi odebrać wiarę w siebie, redukując szanse na pełniejsze i szczęśliwsze życie. Iluż to rzeczy nie robimy ze strachu? Boimy się porażki, ośmieszenia, odrzucenia, konfrontacji z rzeczywistością. Boimy się nieznanego.

Nie chcemy ryzykować? Wygodniej jest żyć tak jak jest, nawet gdy odczuwamy, że powinno być inaczej, lepiej? Powinno się poprawić, ale –

strach paraliżuje działanie, trudno się ruszyć z miejsca. Z ilu rzeczy rezygnujemy, bo tak jest bezpieczniej? Strach każe nic nie zmieniać, niczego nie robić. Przekonuje, że to, co jest – jest lepsze od tego, co może być. Podpowiada, że teraz tak trzeba, że może kiedy indziej, że przyjdzie lepszy moment... Taki irracjonalny strach buduje jakieś bariery w głowie. Czy tak musi być?

Wyolbrzymiony, irracjonalny strach nie tylko utwierdza w bierności. Może być – i jest? – czynnikiem generującym zło i agresję. To oblicze strachu pokazuje – na swój radykalny sposób – Anthony de Mello, gdy pisze: „Ktoś powiedział, że istnieją jedynie dwie rzeczy na świecie: Bóg i strach. Miłość i strach są właśnie tymi dwiema rzeczami. Jest tylko jedno zło na świecie – strach, jest tylko jedno dobro na świecie – miłość. [...] Wszelkie zło pochodzi ze strachu i każdy gwałt z niego się bierze. Osoba rzeczywiście pozbawiona agresji jest osobą, która nie ma w sobie strachu. Gdy obawiasz się czegoś, stajesz się zły. Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz byłeś zły. Idź dalej. Pomyśl, kiedy byłeś zły i jaki lęk krył się pod twoją złością. Czego bałeś się stracić? Co miano ci zabrać, iż tak bardzo się bałeś? To tutaj tkwi przyczyna twojej złości. Pomyśl o jakiejś złej osobie, być może to ty jesteś źródłem jej strachu. Czy widzisz, jak jest przestraszona? Jest naprawdę wystraszona, bez żartów. Ostatecznie są jedynie dwie rzeczy na świecie: miłość i strach”². Anthony de Mello nie zajął się tu wcale tym pozytywnym, pierwotnym (właściwym też zwierzętom) strachem generowanym przez walkę o przetrwanie. Mówi tylko o naszym ludzkim, niekoniecznie racjonalnym strachu. I w takim ujęciu pokazuje te przyczyny strachu, które nosimy w sobie, swoich wyobrażeniach, nawykach, urojeniach. Może dla większej jasności warto ten rodzaj strachu przypisać do kategorii lęków?

Strach i lęk – z reguły te określenia stosujemy zamiennie. Są to pojęcia podobne, ale czy tożsame? Dla psychologów to zgoła odmienne stany emocjonalne. Strach pojawia się w obliczu realnego zagrożenia, natomiast lęk w swej istocie jest irracjonalny, wynika bowiem z niebezpieczeństwa wyobrażonego lub zagrożenia dopiero przewidywanego. Strach, który oddziałuje na nas mobilizująco jest pożytecznym i potrzebnym uczuciem, ostrzega nas i chroni. Lęk natomiast to objaw psychopatologiczny.

Lęk objawiać się może jako oczekiwanie na doświadczenie nieprzyjemne, bliżej nieokreślone, trudne do nazwania. Takie oczekiwanie zagrożenia o mglistym charakterze może powodować dyskomfort i, uruchamiając mechanizm błędnego koła, nasilać lęk. Czy problemem są dla nas emocje, czy raczej to, co z nimi robimy? Czy rację ma Stephen King, gdy pisze: „Lękliwi ludzie żyją we własnym piekle. Można powiedzieć, że sami je sobie tworzą...”³? Czego się boimy: działania czy jego niepewnych konsekwencji?

Idziemy przez życie z bagażem lęków, często absurdalnych. Blokujemy swoje spontaniczne zachowania. Bo nie wypada? Bo lepiej nie wystawać ponad normę? Bo co powiedzą inni? Czy szukamy przyczyny naszych rezygnacji? Nie analizujemy – naszych działań, motywacji. Wycofujemy się. Wybieramy łatwe rozwiązania. Bo coś wydaje się za trudne, nowe, wymaga wysiłku, zagraża sprawdzonemu już rytmowi życia. Po co ryzykować, skoro w miarę dobrze się egzystuje (wegetuje?) na utartych ścieżkach? Przecież mamy już ustalone jakieś normy, schematy postępowania i wiemy, czego się spodziewać... Konformizm? Tak nam wygodnie, że boimy się zaryzykować – nawet w imię większej wygody? Za prognozowanymi przeciwnościami skrywają się ogromne obawy.

Czy nie warto wychodzić z ciasnego myślenia? Przed podjęciem decyzji można bez końca wyobrazać sobie, co się stanie. Można projektować dowolne scenariusze i każdego dnia przeżywać je na nowo. Żyć marzeniami – czy próbować je spełniać? Że się nie uda? A czyż nie jest tak, że po czasie, po działaniu, patrząc z dystansu – jest zdziwienie: dlaczego obawa, strach, lęk były tak duże? Czy rzeczywistość nie jest lepsza od najwspanialszych nawet projekcji? Ile to sytuacji i decyzji odkładanych ze strachu, okazało się o wiele bardziej satysfakcjonującymi i przyjaznymi – ponad oczekiwania. I nie było porażki. I nikt nie wyśmiewał. I grunt pod nogami pozostał. Jest się czego bać – aż tak bardzo?

Wyjść poza strach. Odrzucić lęk.

Rób zawsze to, czego się boisz! Paradoks, ale...

PRZYPISY:

¹J.K. Rowling, *Harry Potter i więzień Azkabanu*

²Anthony de Mello, *Przebudzenie*

³Stephen King, *Przebudzenie*

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Nigdy nie mów nigdy Ken Follet w (przerażającej) formie

Z górnej półki

Co tu czytać w tych smutnych, a zarazem burzliwych czasach, żeby trochę się oderwać i może coś więcej zrozumieć? *Porządek dnia* Erica Vuillarda, powieściowy esej o Hitlerze i początkach jego podboju Europy, pokazuje rosnącą dominację potwora w czasach Chamberlaina i populistycznych przywódców w rodzaju kanclerza Austrii, Kurta von Schuschnigga. Dobrze ilustruje mechanizmy polityczne, których jesteśmy świadkami teraz, w czasach Putina. Jednak przy tym niewątpliwie znakomitym i dobrze udokumentowanym tekście trudno o odpoczynek od zalewających nas aktualnie informacji i wojennych raportów. Postanowiłam sięgnąć więc po sprawdzoną fikcję. Ostatnia powieść Kena Folleta *Nigdy* zdawała się spełniać wszystkie moje oczekiwania. Tę kolejną, po *Upadku gigantów* książkę w stylu political-fiction, autor poprzedził takim oto złowieszczym słowem wstępnym: „[...] Żaden z europejskich przywódców [...] nie dążył do konfliktu zbrojnego. A mimo to monarchowie i premierzy, jeden po drugim, podejmowali decyzje [...], z których każda krok po kroku zbliżała świat do najstraszliwszej wojny w dziejach ludzkości. Doszedłem do przekonania, że wszystko to było w istocie tragicznym wypadkiem. I zastanawiałem się, czy coś takiego może się powtórzyć”. A zatem wojna. I to nuklearna. Czy może się zdarzyć? I jak jej zapobiec?

Swoim zwyczajem Ken Follet napisał długą, drobiazgową powieść, w której zawarł wszystkie lęki naszych czasów. Jest to jednak przede wszystkim fascynująca historia szpiegowska, która dzieje się na różnych planach i w różnych państwach równolegle.

W afrykańskim Czadzie dwoje agentów wywiadu, Tamara z CIA i Tab z francuskiego DGSE, skupia się przede wszystkim na tropieniu dżi-

hystów i przy okazji stara się zapobiec konfliktowi na granicy z Sudanem. Oboje są dobrze wyszkoleni, inteligentni, dzielni i oczywiście piękni, co nieuchronnie prowadzi do satysfakcjonującego romansu w tle. Tamara i Tab współpracują z Abdulem, zamerykanizowanym Libańczykiem. Jest on ich agentem terenowym. Abdul jedzie przez Saharę w kierunku Libii zdezelowanym autobusem pełnym migrantów, których celem ostatecznym jest Europa. Samochód jest też wypełniony ukrytym ładunkiem: kokainą wartą miliony dolarów, pilnowaną przez dwóch groźnych i uzbrojonych dżihadystów. Dotarcie do ich mocodawców jest głównym zadaniem agenta. Ponieważ Abdul jest człowiekiem tak samo odważnym, jak szlachetnym, w czasie podróży dyskretnie opiekuje się piękną Czadyjką, wdową, która z małym synkiem ucieka przed biedą do bogatej Francji. Młoda, urodziwa kobieta jest dla wielu, przemytników i współpasażerów, łakomym kąskiem. Libańczyk nie odmawia pomocy także innym potrzebującym, co prowokuje groźne sytuacje, przyspieszające puls powieści.

Z zakurzonej, gorącej pustyni przenosimy się prosto do Gabinetu Ovalnego, gdyż naszą kolejną bohaterką jest prezydent USA pani Pauline Green. Bierze udział nie tylko w amerykańskiej skomplikowanej szaradzie politycznej, w zmaganiach z konkurentami do urzędu prezydenckiego, ale także w życiu prywatnym prezydentki, śledząc kłopoty z nastoletnią córką, czy też emocjonalne zawirowania z tak zwanym pierwszym dżentelmenem. Jednak na tym planie najistotniejsze sprawy dzieją się przede wszystkim w Gabinetcie Ovalnym, do którego docierają niepokojące informacje z Czadu, Sudanu oraz Chin.

To w Chinach poznajemy następnego z protagonistów tej bogatej opowieści, Chang Kaia, szefa komunistycznego wywiadu. Obserwujemy niebezpieczną dla pokoju światowego rywalizację pomiędzy tradycyjnymi maoistami, a nowym pokoleniem komunistycznych technokratów w rodzaju Kaia. Ale przy okazji udaje nam się nam uczestniczyć w życiu rodziny z wyższych (czerwonych) sfer, i – dzięki widocznemu zafascynowaniu autora – przyjrzeć smakowitej, choć dziwnej, chińskiej kuchni. Matka Kaia wypieka na przykład świetne bao, bułeczki na parze, które w naszych dzisiejszych europejskich restauracjach zastąpiły od niedawna tak do tej pory modną japońską zupę ramen. Ale Kai, jak twierdzi jego żona, popularna aktorka serialowa, najbardziej lubi smażone królicze uszy. Ha! A myślałam, że w kuchni już nic mnie nie zaskoczy... No, dobrze. Być może błyskotliwy chiński urzędnik kiedyś znajdzie czas na egzotyczną kolację, tymczasem jednak od swojego szpiega z Korei Północnej otrzymuje wiadomość, która zelektryzuje tak samo Chińską Republikę Ludową, jak i Gabinet Ovalny w USA oraz ich europejskich odpowiedników: w państwie Kim Dzong Una, zwanego tutaj dla niepoznaki Kangiem, wybucha bunt wojskowych, którzy przejmują wszystkie ośrodki z bronią jądrową. Oczywiście, propaganda Korei Północnej zrzuca odpowiedzialność na Amerykę. W tym samym czasie konflikt na granicy Czadu z Sudanem rozgrzewa się do czerwoności. Pragnąc zemsty za zamachy z udziałem chińskiej i koreańskiej broni sprzedawanej bez zahamowań dżihadystom, opozycja bombarduje ukradzionym amerykańskim dronem port budowany przez Chiny. Ginie sto osób, w tym kobiety i dzieci, wszyscy są obywatelami Państwa Środka. Chińczycy oskarżają Stany Zjednoczone o współwinę. Tak zaczyna się eskalacja wypadków. Świat staje na krawędzi wojny atomowej. Jak mówi amerykańska prezydent Green – „każda katastrofa zaczyna się od małego problemu, którego nie naprawiono w porę”.

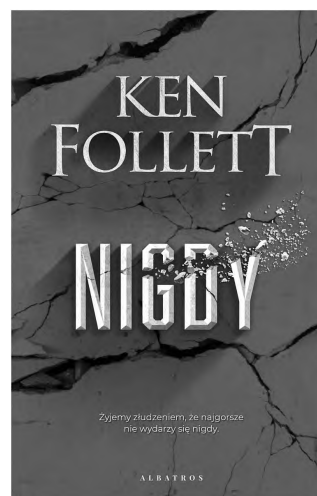
Ken Follet z sukcesem pokazuje w swoim utworze, jak sieć personalnych powiązań, wzajemnych niechęci, czy porywów egoistycznej dumy może doprowadzić do niebezpiecznego splotu wypadków, także na arenie międzynarodowej. Dokładnie to obserwujemy dziś my, bezradni świadkowie toczącej się za naszą wschodnią gra-

nicą wojny. Jako główną jej przyczynę podaje się czasami arogancję rosyjskiego przywódcy, a także jego własną, błędną analizę sytuacji, wynikającą z osamotnienia satrapy, lub też jego skłonności psychopatyczne... Naprawdę? A co z otaczającymi go urzędnikami spragnionymi władzy? Co z wszechobecnym aparatem wywiadu? Na podstawie pracy agentów rządu, także te autokratyczne, podejmują przecież wszelkie decyzje. Bywają one wypadkową osobistych dążeń różnych arystów oraz wzajemnych animozji. Co wreszcie z ambicjami polityków po każdej stronie granicy?

Ken Follet stworzył w *Nigdy* dobrą powieść akcji. Jednak wątek Abdula, samotnego agenta ściganego przez pustynię okrutnych dżihadystów, spajający cały utwór, jest też jego najbardziej literacką i pogodną częścią. Reszta nie bardzo różni się od mrozących krew w żyłach wiadomości z ostatnich miesięcy. Co dadzą rozmowy USA z Chinami, tych ostatnich z Koreą Północną, nocne dyskusje amerykańskiej prezydent z jej południowo-koreańską odpowiedniczką, działania ludzi dobrej woli pod każdą szerokością geograficzną? Jaki przyniosą skutki? Czy uda się ocalić naszą cywilizację przed nuklearną wojną?

Ostatnich kilkadziesiąt kartek powieści Kena Folleta to prawdziwy *dance macabre*. A książka liczy dokładnie siedemset trzydzieści cztery strony... Powodzenia.

Ken Follet, *Nigdy*, Wydawnictwo Albatros 2021



Tomasz ŻAK

Jaki ojciec, taki syn – nawet w kinowym fotelu!?

LeŻAKowanie, czyli o filmach z pozycji kanapy

Tym razem trochę prywaty – 14 kwietnia o godzinie 8:09 urodził mi się syn. Piękny, cudowny, idealny – ale kto tak nie myśli o własnym dziecku. Dlatego też postanowiłem zrobić autorski ranking najlepszych filmów, które warto obejrzeć z synem. Są tu obrazy miłe i przyjemne, są też takie do których ciężko mi wracać, a jeśli to robię – płaczę podczas seansu. Dokładnie tak, jak widząc Iga po raz pierwszy. Bo łyzy, drodzy mężczyźni, to nic strasznego.

1

Zacniemy klasykiem nad klasykami. *Ojciec Chrzestny* to jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy film o mafii. To także, a może przede wszystkim, opowieść o olbrzymim cieniu ojca, który pada na Michaela Corleone. Czy syn powinien iść wytyczoną i przygotowaną przez ojca drogą? Czy powinien kontynuować jego dziedzictwo? Pomimo upływu lat obraz Coppoli nadal ogląda się wyśmienicie. Twój ojciec ma znaną na cały kraj stolarnię, a ty jedyne, o czym marzysz to pisać wiersze? Obejrzyjcie ten film razem, tylko dajcie spokój koniom.

2

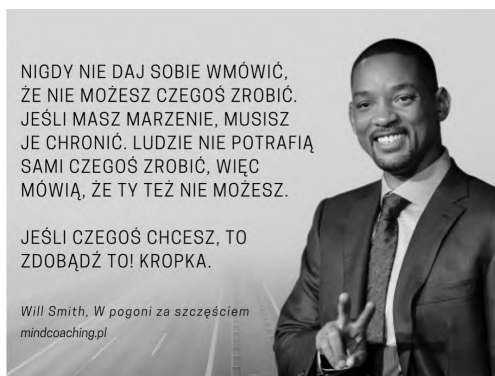
Will Smith to jeden z niewielu aktorów, którzy z jednej strony grają w typowo hollywoodzkiej papce, a z drugiej – robią to z wielką gracją i wdziękiem. Moja ulubiona rola bajeranta z *Bel-Air* to ta, gdzie wcielił się w Chrisa Gardnera. Bohater *W pogoni za szczęściem* przez rok zmagając się z bezdomnością, jednocześnie wychowuje syna i szuka stałej pracy. Na twarzy Smitha widać ten wielki ból, kiedy nie możesz zaspokoić podstawowych potrzeb swojej latorośli. Piękna opowieść o poświęceniu i walce do samego końca. Już na samą myśl o finale chce mi się płakać.

3

Nic tak nie łączy ojca z synem jak wspólna wyprawa. Ale czy aby na pewno ta zasada sprawdza się w postapokaliptycznym świecie *Drogi*. To mroczny, kameralny film z genialną rolą Viggo Mortensena i jeszcze genialniejszą muzyką Nicka Cave'a i Warrena Ellisa. Czy podróż przez zdevastowane Stany Zjednoczone przyniesie parze to, czego szukają. A może cel od dawna jest w nich samych? Piękny, ale – ostrzegam – brutalny film.

4

Życie jest piękne to jeden z tych filmów, podczas których zawsze lecą mi łzy ze śmiechu i wzruszenia. Sielanka Guida, jego żony i synka zostaje przerwana, kiedy wybucha druga wojna światowa, a panowie zostają odseparowani od Dory i trafiają do obozu koncentracyjnego. Jak ochronić niewinnego syna przed jednym z największych okrucieństw, jakie człowiek kiedykolwiek zgotował drugiemu człowiekowi? Wmówić mu, że to gra, a główną wygraną – prawdziwy czołg. Komedia miesza się z dramatem, a obgryzanie paznokci z wściekłością.



5

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych pełnometrażowe animacje Disneya zawładnęły zbiorową wyobraźnią dzieciaków, jeden z najlepszych filmów ze stajni Myszy przeszedł – przynajmniej w Polsce – bez większego echa. *Goofy na wakacjach* (strasznie dziwny wybór polskiego tytułu) opowiada o tytułowym psie i jego synu, Maxie. Goofy chce wziąć syna na wielką wyprawę wędkarską, a Max wolałby spędzić ten czas z kumplami i swoją nową miłością. Niewiele filmów, także tych aktorskich, tak dobrze pokazało, jak ciężko znaleźć wspólny język z nastoletnim synem. Lata temu kibicowałem Maxowi, dziś wzruszam się nad staraniami jego taty.

6

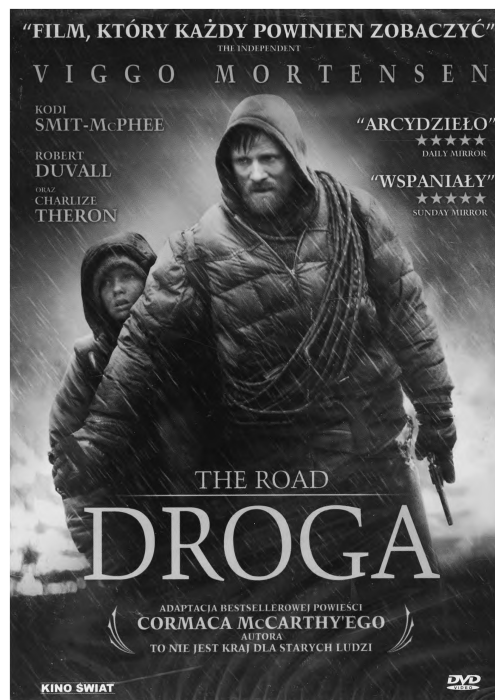
Tego filmu już nigdy nie obejrzę. *Mój piękny syn* to aktorski popis Steve’a Carella i Timothée Chalameta. Czy mający idealne dzieciństwo syn jest w stanie sięgnąć po narkotyki? A jeśli tak, to czy można go jakoś uratować? To jeden z tych obrazów, które fizycznie bołą, a bołą tym bardziej kiedy okazują się historiami opartymi na faktach.

7

Zakończenie nie mogło być inne. Nie byłbym sobą, gdybym nie wspomniął o *Imperium Kontratakuje* i kultowym już wyznaniu o ojcostwie.

Drodzy ojcowie, drodzy synowie*. Oglądajcie razem filmy. Chodźcie do kina na nowe Marvela, streamujcie czarnobiałe klasyki. Rozmawiajcie o wspólnym doświadczaniu kultury. Gwarantuję, że wiele się o sobie nauczycie.

*Drogie matki i drogie córki również!



KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

LECH NAWROCKI

Rocznik 1950. Urodzony w Poznaniu. Mieszka w gminie Dolsk. Emerytowany profesor Politechniki Opolskiej – redaktor naczelny kwartalnika „Bydło Mięsne”. Z zamiłowania badacz zachowań zwierząt. Człowiek wielu talentów. Autor drobnych form literackich. Kompozytor – głównie muzyki jazzowej, piosenek literackich, także autor tekstów. Kierownik muzyczny zespołów „Integranci”, „AliQuot” i „L.Combo”.

1 Kim jestem...

Ufff! Na to pytanie raczej powinni wypowiedzieć się ci, którzy mnie bliżej znają, żyją ze mną, wytrzymują, współpracują – zwłaszcza dłużej i dogłębniej. Sam o sobie powiedziałbym, że jestem w gorącej wodzie kąpany, acz staram się – we wspólnym działaniu – być wyrozumiałym dla ludzi.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Myślę, że uznanie i szacunek wybitnych specjalistów w moim zawodzie, a także w hobby.

3 W czym jestem dobry...

Prawdopodobnie w irytowaniu innych. Według córki jestem „cudownie wkurzający” (mam to nawet na piśmie w kolorowej laurce, zaczynającej się „Kochany Tato”). A poza tym – to już zabrzmia nieskromnie – w konsekwentnym dążeniu do celu, mimo zniechęcających przeszkód.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Zrealizować wiele planów muzycznych, na które nie miałem czasu przez całe życie.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Być bardziej cierpliwym, mniej mówić, żeby więcej słyszeć...

6 Co daje mi szczęście...

Każdy dzień, każda chwila, kiedy budzę się i mogę coś wciąż nowego zrobić, marzyć, snuć plany i je realizować.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Było ich wiele. Ten wyjątkowy może jeszcze nadejść? A może po prostu dzień, w którym przyszedłem na świat?

U przyjaciół najbardziej cenię...

Szczerość, życzliwość, empatię, nieobrażanie się.

Bohaterstwo to dla mnie...

To raczej tylko obywatelski obowiązek, powinność każdego z nas, zresztą bezinteresowną pomoc dla innych mamy zapisaną w genach (neurony lustrzane).

Epoka, w której chciałbym żyć...

Nie było jej i jeszcze nie ma – na pewno taki czas, gdy nie będzie wojen, okrucieństwa, głodu, nienawiści, chciwości, nikczemności, zawiści, kłamstw, oszczerstw i wielu innych podłych rzeczy.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Utracić moją najbliższą rodzinę.

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

To prawie stuletnie pianino, na którym gram i tworzę muzykę. Nie nazywałbym jednak tego instrumentu rzeczą czy przedmiotem, bo ma w sobie magiczną moc.

Moja największa wada...

Nie widzę żadnych swoich wad? A jest ich przecież bez liku!

Główna cecha charakteru...

Niespokojny duch.

Moje motto życiowe...

Jestem silny, bo mam słabość do życia.

Ulubiony dźwięk...

Cisza pól i łąk oraz buzujący ogień w moim piecyku typu „koza”.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Generalnie wysokie dźwięki, piski, a najgorsza jest ich bezlitosna powtarzalność i nadmierna głośność. Poza tym prawdopodobnie jestem nadśłuchowcem.

Nie mógłbym żyć bez...

Miłości i muzyki. Bez powietrza, wody i chleba też.

Co wzbudza we mnie lęk...

Nieprzewidywalni psychopaci.

Moje ukryte marzenie...

Napisać muzykę do filmu reżysera, którego cenię.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Ach! Mieć piękną, pełną alikwotów, barytonową, zniewalającą barwę głosu, by móc śpiewać solo.

Zawsze śmiesz mnie...

Głupota ludzka, chociaż ostatnio coraz mniej, bo jej już za dużo.

Słowo, którego nadużywam...

Raczej staram się nie nadużywać tych samych słów. Mamy piękny, bogaty język – zresztą bardzo lubię synonimy oraz eufemizmy.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Jest co prawda takie powiedzenie, że dobre pamiętam, a złego nie zapominam, jednak, niestety, mam okropnie krótką pamięć i nic nie mogę sobie takiego przypomnieć. Może i dobrze?

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Pocieszenie: nic nie jest wieczne, więc smutek czy rozpacz też przemina, tylko trzeba przeczekać, przeboleć i wierzyć, że jutro znów zaświeci słońce, mimo że „cały zbudowany jestem z ran”, jak mawiał Edward Stachura.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Że mnie oszukiwała.

Wolność to dla mnie...

Być sobą, nikomu nie przeszkadzając, bo nie ma bezgranicznej wolności – zawsze jest jakiś rodzaj oraz stopień zależności.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

Reżyserem filmowym lub pianistą jazzowym.

Obecny stan mojego umysłu...

Obudzony po latach milczenia wulkan, z którego teraz dniami nocą, wydobywa się lawa muzyki.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Cóż, to raczej marzenie „ściętej głowy”: był siłą sprawczą, inspirujący i przyjazny, chociaż nie do końca zrozumiały.

Marta TOK

Tajemnica angielskiego domu

Opowiadanie w pięciu częściach

CZĘŚĆ 2 – CIEN

...Alicja zamarła. A potem z bijącym sercem wypadła z domu chwytając po drodze płaszcz, buty i torebkę. Drżącymi rękami ubrała się na ulicy i sprawdziła, czy ma klucze. Na szczęście znalazła je w kieszeni, ale była gotowa zostawić dom otwarty i w ogóle do niego nie wracać. Co dalej? Co robić? Jedyńą osobą, którą знаła w Stony i to w zasadzie przelotnie, była Helen, przyjaciółka syna. Mieszkała dwa kroki stąd. Był wprawdzie wieczór, a Alicja znajdowała się w kraju, gdzie każdy dom uważano podobno za warowny zamek, ale chyba zaistniały okoliczności łagodzące – stwierdziła, ruszając w kierunku domu dziewczyny. Może to jednak ona wypita te trochę z butelki czekając na mnie? – pomyślała z nadzieją. Byłoby to wprawdzie wysoce nieortodoksyjne zachowanie jak na Brytyjkę, ale... Ale przecież Helen była z pochodzenia Łotewką! – Uświadomiła sobie z niewytłumaczalną ulgą Alicja i przyspieszyła kroku. Niestety dom stał pogrążony w mroku i pukanie kołatką w oliwkowe drzwi nic nie dało. Co teraz? Zadzwoić do syna? Wiedziała, że połączenie z zapadłą dziurą, w której pracował nie zawsze się udaje. A poza tym, co miała mu powiedzieć? Wracać dziecko, bo w twoim domu straszy?! Skreśliła na główną ulicę Stony i wyszła prosto na turecką restaurację, którą widziała już wcześniej. Przez okna starego domu z kolombazem widać było przytulne, nowoczesne wnętrza. Kilka stolików mieli zajętych mimo środka tygodnia. Po chwili wahania Alicja zdecydowała się wejść. Trochę ludzi wokół i solidna porcja wina, oto czego mi potrzeba teraz – pomyślała.

Usiadła przy drewnianym stole i spojrzała na kolorowe lampy ze sztucznej tytki zwisające z su-

fitu. Dawały kojące światło. Młoda, na oko trzydziestoletnia kelnerka przyniosła jej kartę menu. Adana kofta, sućuk, pide – niewiele mówiły jej te nazwy, ale brzmiały orientalnie i budziły apetyt. – Co to jest ta adana kofta? – zapytała kelnerkę, kiedy podeszła, by wziąć zamówienie. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Widać, że pani nie stąd. Tu wszyscy znają turecką kuchnię, bo chyba innej w okolicy nie ma... To rodzaj szaszłyka... Smaczny. Podajemy go z warzywami, do tego idzie jeszcze jogurt i taki specjalny sos pomidorowy... Mówiła po angielsku z lekkim akcentem, ale Alicja nie wiedziała, do jakiej narodowości przypisać dziewczynę. Wysoka brunetka z regularnymi rysami i mlecznobiałą cerą. Turczynka? Może.

– A pide, to co?

– „Pide” to taki chlebek, placek jakby.

– A, pita – domyśliła się Alicja. I chyba powiedziała na głos po polsku nazwę, bo dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– A więc pani z Polski – stwierdziła czystą polszczyzną. Nigdy bym nie zgadła.

– O. – Zdziwiła się Alicja. – Pani też. To miło.

– Agata – przedstawiła się dziewczyna. – To co, ta kofta może być? Do tego są różne surówki. I frytki.

– Dobrze, tak. Ale bez frytek. Proszę też o lampkę czerwonego wina. I wodę.

Dziewczyna odeszła, a Alicji zrobiło się lepiej na duszy. Zaczęła myśleć spokojniej. Nic przecież się nie stało. Nowy dom, musi przyzwyczaić się do jego hałasów. Ale ta otwarta butelka?... Jak ma to wytłumaczyć?... Może jednak Helen czuła się w domu syna jak u siebie? Niepotrzebnie spanikowała. To przez tę samotność. Nie lubiła być sama, w dodatku tutaj, w obcym miejscu. Wprawdzie przyjeżdżała do syna już kilka razy w odwiedzinach, ale zawsze byli wszyscy domownicy, a ona

z mężem... Teraz postanowili się na jakiś czas rozstać, a Alicja nie wiedziała, jak to się zakończy. Strasznie ją to stresowało. Wolała o tym nie myśleć. Skupiła się na smacznym daniu, które przyniosła jej Agata.

Restauracja powoli opustoszała. Za barem krzątał się właściciel, drobny, łysiejący facet z sympatycznym wyrazem twarzy. Alicja zamówiła drugą lampkę wina, zastanawiając się, co też sobie o niej pomyśli. Może jest ortodoksyjnym muzułmaninem? Jednak mężczyzna sam przyniósł Alicji kieliszek do stolika i nie wyglądał na obrażonego.

– Pani z Polski? – Odezwał się nagle po polsku.

– Tak! A pan skąd zna język? – Alicja była zaskoczona.

– Żona Polka – odparł krótko. – Mieliliśmy restaurację w Warszawie.

– I co, za ciężko? Zdecydowaliście się państwo emigrować tutaj? – domyśliła się Alicja, wyobrażając sobie od razu, jak musiało wyglądać życie turecko-polskiej pary w kraju.

– Nie ja – odparł ku jej zaskoczeniu mężczyzna. – Żona. Ja bym wolał zostać w Warszawie. A pani tu na długo?

– No jakiś czas zostanę – odparła Alicja niepewnie.

– To do zobaczenia, tak? Uśmiechnął się i odszedł.

W knajpie było już pusto i chyba zbierali się do zamknięcia.

– Co ja mam teraz robić? Wracać czy co?... Jej rozmyślania przerwała kelnerka Agata, która podeszła z kubkiem herbaty w ręce.

– Wszystko w porządku? – zapytała. Coś jeszcze pani podać?

– Nie, dziękuję... Ale... Może pani usiądzie na chwilę ze mną? – wyrwało się Alicji. Na ogół nie

lubiła się bratać ze spotkanymi przypadkiem ludźmi, szczególnie z Polakami na emigracji, ale dziś czuła się wyjątkowo zagubiona.

– Chętnie, już skończyłam – odparła dziewczyna skwapliwie siadając.

– A szef nie będzie miał pretensji?

– E, gdzie tam, znamy się jak łysie konie. Jestem tu jak w rodzinie. A pani, co robi w UK? Na delegacji? – zapytała Agata dość bezceremonialnie. Alicji to nie przeszkadzało. Cieszyła się, że ma do kogo się odezwać.

Wyjaśniła Agacie, kim jest i co tu robi.

– Ten dom z granatowymi drzwiami? – upewniła się dziewczyna. Znam go. Niedaleko znajomi mieszkali, ale wrócili do kraju.

– Ach tak? – zdziwiła się Alicja.

– No, teraz wielu wraca – odpowiedziała Agata. – Ja też się niedługo będę zbierać. Tylko jeszcze trochę odłożę na mieszkanie w Warszawie i już mnie nie ma.

– To pani z Warszawy?

– Tak. Tak, ja już tam z Tarikami pracowałam. Zabrali mnie z przeprowadzką – zażartowała Agata.

– Czyli samotna pani?

– Teraz już tak – odparła krótko dziewczyna. – Dlatego chcę wracać. Tęskno mi do rodziny i znajomych. Jednak Brytole jacyś tacy zamknięci są. No może piwo lubią wypić i powyglądać się... Uprzejmi są, grzeczni, nie tak jak u nas... Ale wiązać się nie lubią – dodała biorąc łyk herbaty. – A pani nie smutno tak samej tu siedzieć? Bez syna? Jakbyś zgadła... – pomyślała Alicja. I może dlatego, że czuła się dziś szczególnie przygnębiona, a dziewczyna wydała jej się sympatyczna, Alicja opowiedziała jej pokrótce swoje ostatnie przeżycia w „nawiedzonym” domku z czerwonej cegły. Trochę podkręciła historię szmerów i trzasków,

żeby dowcipniej zabrzmiało i żeby nie wyjść na jakąś strachliwą gęś. Ale Agata nie śmiała się z niej za bardzo.

– To musiała być albo ta Helen, albo to pani sama zostawiła butlę na stole i zapomniała... – stwierdziła trzeźwo.

– I co, zapomniałabym, że na śniadanie gołętałam trochę alkoholu?! – zaśmiała się z powątpiewaniem Alicja.

– Nie no. To się zdarza, że kupna butelka niedomknięta jest, albo niepełna. A szmery i kroki... Pani Alicjo, te domy to królową Wiktorię przecież pamiętają! Wszystko w nich trzeszczy. I zero izolacji pomiędzy jednym domem a drugim. Słowo daję, ja słyszę, jak sąsiad kartki przewraca. Nie mówiąc o jego chrapaniu.

– Myśli pani? – Alicja poczuła się lepiej. I trochę zrobiło się jej głupio przed tą młodą brunetką ze stanowczym wyrazem twarzy.

– No pewnie. Ja bym tam olała. Wróci pani do domu, spokojnie sobie telewizor włączy i strachy miną... A jak pani ciągle się będzie niepewnie czuła, to może mam rozwiązanie. Na krótko, ale zawsze – zaśmiała się nagle Agata coś sobie przypominając. Okazało się, że jej koleżanka, Brytyjka, też kelnerka u Tarika, wyjechała na trzy miesiące i zostawiła im na przechowanie starego czarnego labradora. Przez większość czasu spał przy kominku w mieszkaniu nad knajpą, tylko trzy razy dziennie trzeba go było wyprowadzać.

– Może go sobie pani na przechowanie wziąć. Raźniej będzie wam razem.

– A będzie chciał? I jednak w niektóre dni do wieczora jestem w Londynie... Alicja nie była pewna, czy ten pomysł jej się podoba.

– Jemu już wszystko jedno. Łagodny jest. W dzień mogą na chwilę wpaść i go wyprowadzić, jak będzie potrzeba – zachęcała Agata. –

A za to w nocy będzie pani raźniej.

– No dobrze. Pomyślę i dam znać.

Alicja była wdzięczna dziewczynie za towarzystwo i rady. Płacąc w barze zostawiła niezły napiwek, mając nadzieję, że trafi do niej. Wzięła wizytówkę z telefonem, pomachała na pożegnanie i ruszyła do domu pustą i ciemną o tej porze główną ulicą. Wejścia do zaułków ziały niepokojącym mrokiem... Ale Park Street było oświetlone ciepłym światłem lamp z wykuszowych okien, u sąsiadów migotał telewizor, więc Alicja nabrała odwagi. Weszła do domu, ostrożnie zajrzała do wszystkich pomieszczeń, a potem niewiele się już zastanawiając schowała butelkę ginu do szafki kuchennej, pogasiła światła na dole i wspięła się do sypialni. Pooglądała z godzinę netfliksowy serial i jakoś zasnęła.

Jednak w nocy coś ją obudziło. Nie wiedziała, co. Leżała w mroku nasłuchując. Cisza. Może to tylko mój pęcherz – pomyślała Alicja. Sprawdziła godzinę na komórce. Prawie czwarta. Wstała i nie zapalając światła zeszła na dół do łazienki. Kiedy przechodziła przez salon zerknęła do ogrodu i stanęła jak wryta. Latarnia uliczna oświetlała zazwyczaj małe podwórko za domem. Tym razem jednak w świetle latarni widać było jakiś cień wyłaniający się zza przybudówki... Długi cień rzucony na drewniany płot sąsiadów... I z pewnością był to cień człowieka. Mężczyzny.

Leszek MAŃKOWSKI

Korowód, karawana – kondukt?

Na oparach

„My z przodków naszych począwszy od Kaina Bratozabójcy z ojca i syna”¹.

Wielkanoc. Pierwsza po pandemii. Mogła być w pełni radosna, ale – jak doświadczać radości Zmartwychwstania, gdy mamy świadomość wojny toczącej się u naszej granicy. Już ponad 50 dni trwa Wielki Piątek narodu ukraińskiego. Zbombardowane domy, szpitale, szkoły. Oblężone miasta odcięte od żywności i energii. Ludzie rozstrzelani, zabijani na ulicach. Dzieci kradzione rodzicom, wywożone do Rosji. Gwałcone i mordowane kobiety, dziewczynki. Lista rosyjskich zbrodni jest długa. Uchodźcy, matki z dziećmi są wśród nas.

Na ich dom spadają bomby. Giną ich sąsiedzi i przyjaciele. Ona żegna się z mężem. On zostaje, by bronić miasta. Ona pakuje rzeczy do kilku walizek, zabiera do samochodu dzieci. Jadą kilkadziesiąt godzin w strachu i niepewności jutra. Czy kiedyś wrócą? Czy dzieci zobaczą jeszcze ojca? Czy on przeżyje? Jadą. Tysiąc kilometrów dalej zatrzymują się w obcym mieście. Ich Wielkanoc? Po pierwszym szoku, strach jest słabszy, osławiamy się na ile się da. Czas na refleksje i pytania. Dlaczego...?

Dlaczego to zrobili? Dlaczego zwykli Rosjanie popierają bandytów z Kremla, czego pragną, czego się boją? Dlaczego ich „żołnierze” postępują jak najdziksza dzicz? Dziwimy się, że tam w Rosji ludzie pochwalają putińskich rzeźników, ale – co oni wiedzą o tej wojnie? Ukształtowani przez wieki w posłuszeństwie dla carów, zastraszeni przez dziesięciolecia komunizmu, wykarmieni propagandą, wyedukowani w ostatnim dwudziestolecu przez kolejnego szaleńca... Poszli więc bronić „ruskiego миру”. Pobłogosławieni, a jakże, przez „batuszkę” na walkę z zachodnią zarazą, w obronie kraju przed bezbożną

Europą. A właściwie – to nie wojna, tylko pokojowa operacja, oczyszczanie Ukrainy z nazistów. „Co to za kraj – Federacja Rosyjska, która boi się szpitali, boi się porodówek i zamienia je w gruzy? Bo tam byli mali banderowcy? Bo ciężarne kobiety zamierzały ostrzeliwać Rostów? Co to było? Denazyfikacja szpitala?” – mówił prezydent Zełenski...

Lekceważony aktor okazał się wielkim przywódcą, prawdziwym wodzem broniącego się heroicznie narodu. To niejedyne zaskoczenie. Putin tak zjednoczył Zachód w kilka dni, jak przez 30 lat wcześniej nikomu się nie udało. Wojna pokazuje, jak zmieniają się postawy możliwych tego świata. Jedni pozytywnie zaskakują, drudzy przęzając mięśnie dokonują przeróżnych wolt, jeszcze inni lawirują potwierdzając swą miękkość. Są też tacy, którzy zawiedli. Ale może zmianie ulegają tylko moje dotychczasowe o nich wyobrażenia? Kłopot. W naiwności (?) swojej spodziewałem się od papieża słów jednoznacznych – mowy „tak-tak, nie-nie”. Nie przyjmuję jego symetriizmu, wzywania „obu stron konfliktu” do rezygnacji z „czegoś” w imię pokoju. (Nie chcę się domyślać, z czego mają zrezygnować Ukraińcy...) Nie trafia do mnie ta dyplomacja: żeby tylko nie urazić kremłowskiego zbira i tego p.o. patriarchy. I guzik mnie obchodzi, że papież tak zawsze... I nie kupuję tego – wklejonego w drogę krzyżową – wielkopiątkowego obrazka ukraińsko-rosyjskiego. Pojednanie już, teraz – pojednanie ofiary z katem w trakcie dokonywania zbrodni?... Słynne „przebaczamy” w liście polskich biskupów pojawiło się 20 lat po tamtej, naszej wojnie. I myślę sobie, czy można być jednocześnie prorokiem i dyplomatą? Co na to Biblia?



Fot. Nanafu

Na świecie po bolesnym przebudzeniu następuje trzeźwienie. Zbankrutowały długotrwałe „szyzofowe” próby sklejanía dwóch światów, Wschodu i Zachodu. Rozwiały się miraż, upadły piękne idee przenikania kultur... Schowano (na czas tylko?) gdzieś pomysły naszych sojuszy z europejskimi politykami wynagradzanymi w rublach. Ale niektórzy sojusznicy Putina mają się nadal dobrze. Mam tylko nadzieję, że chore zamysły stworzenia u nas drugiego Budapesztu nie zostaną zrealizowane. Póki co, przycichła narracja o „brukselskich okupantach”, „wymaginowanej wspólnoty”, „unijnej szmacie”, nawet o „tęczowej zaradzie”. Pewnie nawet nasze jastrzębki widzą, że Ukraina nie tylko walczy o własną niepodległość i istnienie państwa, ale także broni nas.

W okamgnieniu dla nas, zwykłych obywateli, międzypartyjne spory polityczne straciły na znaczeniu. Na drugi plan zeszły inflacja i drożyzna, afery, Pegasus, praworządność i – zamieciony urzędowo pod dywan – słabnący koronawirus. Polacy masowo ruszyli z pomocą potrzebującym. Przyjmujemy gości z Ukrainy. Ta pomoc, ten

zryw jest fenomenem światowym. Narzekając na co dzień na swoją organizację, teraz w sytuacji nadzwyczajnej zorganizowaliśmy się superek szybko, bez odgórnych poleceń i bez zbudowanych państwowych struktur. Mistrzowie spontanu i improwizacji. Ludzie. Samorządy, organizacje pozarządowe, instytucje kościelne. Rażą mnie tylko ci rządzący, gdy wypinają piersi do orderów za nie swoje zasługi. Działają jednak, ale – po co od razu pouczają cały świat? Strofują innych za nieszczerne sankcje – a też nie wprowadzają paliwowego embarga. Boją się gniewu kierowców, słupki poparcia ważniejsze? Popisy hipokryzji... Póki co my jednak robimy swoje. Jak długo? Na ile nam starczy sił, wytrzymałości i – pieniędzy? Będą kłopoty. Przeżywamy jako społeczeństwo moment heroiczny, zebraliśmy się w sobie, czujemy się fantastycznie, czujemy, że jesteśmy razem. Ale czy dostrzegamy ciemniejsze strony tej sytuacji? Do głosu zaczął dochodzić frustracja, lęk i gniew. Pojawiają się kłopoty w relacjach i problemy organizacyjne. I szukanie kozła ofiarnego? Uznajemy, że ktoś musi być winny. Nie-

stety, pada często na tego, kogo najprościej jest obarczyć winą. Najprościej zrzucić wszystko na uchodźców...

To nie jest tak, że nam teraz anioły zstąpiły z ukraińskiego nieba. A i sami też aniołami nie jesteśmy. Obyśmy nie szli w kierunku podziału na my i oni. My lepsi, oni gorsi. Żebyśmy my, którzy mamy się czym dzielić, nie oceniali tych, którzy mają zdecydowanie mniej możliwości dzielenia się. Groźba takich zachowań jest realna. Są wśród nas tacy, którzy wytrwale dzielą, sortują, wartościują. Już teraz podsycane są przez rosyjskich propagandystów (i działających ramię w ramię z nimi naszych nacjonalistów) antyukraińskie poglądy, historycznie motywowana nienawiść do Ukraińców, strach przed obcymi, ale też przed popadnięciem w ubóstwo. Jak będzie?

Od początku coś u nas zgrzyta. Uruchomiliśmy ogromne zasoby dobra, ale... tylko wobec bliższych nam kulturowo, mówiących podobnym słowiańskim językiem. Dzielimy uchodźców na lepszych i gorszych. Nie razi nas to, że państwowe służby nadal nieludzko traktują tych innych migrantów? W wojennym zgiełku nie słychać płaczu dzieci innej granicy. Po cichu rośnie, umacnia się graniczny mur.

Czy propaganda depcze ludzkie umysły tylko w Rosji? Dlaczego „bratankowie” wybrali tak, a nie inaczej? A my? Dzisiaj domagamy się solidarności świata, a przynajmniej Europy. Wytykają innym naszej władze, że zachowują się jak ich przodkowie, którzy kiedyś nie chcieli umierać za Gdańsk. Potakujemy temu. A pamiętamy, na ile obchodzili nas Czeczenia, Gruzja, Syria? Przejmuje nas do głębi Mariupol i Bucza. A interesowały nas nie tak dawno Grozny czy Aleppo? Ten sam Putin...

Chcemy teraz, by inni wspomogli nas w przyjmowaniu uchodźców. A czy my, zwykli ludzie, chociaż zaprotestowaliśmy, gdy polski rząd nie zgodził się na przyjęcie choćby garstki osieroconych syryjskich dzieci? Obłudnie potakiwaliśmy, że lepiej pomagać im tam „na miejscu”, więc na gruzach, pod bombami. Co nas może dzisiaj dziwić?

Niby kultywuje się pamięć historyczną. Tyle powiedziano o mrocznym czasie tamtej wojny, o absolutnej czerni Auschwitz, o Hiroszimie. Nadzieja, że ludzie wreszcie coś z tego zrozumieli zniknęła. Atak Putina, bestialstwo Rosjan

pokazuje każdego dnia, że ciężar dawnych zbrodni nie uratował ludzkości przed freudowskim popędem śmierci. Że zmora powróciła.

Są iskierki nadziei. Są przejawy człowieczeństwa, które stawia czoło barbarzyństwu i podaje rękę bliźniemu. Ale czy są powody do optymizmu?

„My z przodków naszych począwszy od Kaina Historii koniec, zostaje nam margines Totalnej klęski przodkowie nie doznali My w samobójstwie będziemy doskonali”².

¹Czesław Niemen, *Począwszy od Kaina*

²jw.

Marek KOPEĆ

Tam i z powrotem, czyli polsko-włoskie historie z winem w tle

Część 2

Najlepszy z Poniatowskich, książę Stanisław, był synem królewskiego brata Kazimierza, Podkomorzego Wielkiego Koronnego. Ojciec był sławnym hulaką, trwoniącym majątek na zabawy i dziwaczne fanaberie. Założył w Warszawie ogrody Frascati, na wzór ogrodów włoskiego miasta o tej samej nazwie. Hodował w nich ananasy i małpy, które z czasem zaczynały zdychać. Organizował przyjęcia, na których bawiła się warszawska elita. Natomiast matka Stanisława, Apolonia, była osobą wykształconą, bardzo oszczędną i cnotliwą. Książę wdał się w matkę, która go wychowuje na wsi do siódmego roku życia. Potem Stanisław zostaje wezwany do Warszawy przez stryja Stanisława Augusta. Odtąd on roztacza nad nim opiekę. Tworzy specjalnie dla niego konwikt – naukowy zakład. Prowadzą go włoscy zakonnicy, ojcowie Teatyni. Kieruje zaś nimi ojciec Antonio Maria Portaluppi, uosobienie włoskości, będący niegdyś preceptorem Stanisława Augusta. I to on zaszczerpił w młodym księciu miłość do włoskiej kultury. Pomijając polityczną działalność w kraju i jego podróże do Niemiec, Anglii, książę Stanisław

Książę Stanisław Poniatowski na tle dymiącego wulkanu. Fragment obrazu A. Kauffmann



swoją pierwszą podróż do Italii odbywa zimą 1775/1776 i od razu zakochuje się w niej bez pamięci. Wędruje po Rzymie i odwiedza antykwarium na Via Babuino. Kupuje starożytne dzieła sztuki, gemmy i kamee, co stanie się jego życiową pasją. Komplementując zaś piękne kobiety, będzie używał zwrotu, że jest w typie włoskim.

Zanim jednak wróci jeszcze do Italii, będzie się oddawał swoim interesom w Ukrainie. Bowiem otrzymuje z rąk królewskich starostwa bohusławskie i kaniowskie. Staje się właścicielem dóbr korsuńskich, tahananickich, horochowskich, kaniowskich, bohusławskich i nowodworskich. Zanim skończy dwadzieścia dwa lata będzie już bajecznie bogaty. Buduje na swoją siedzibę pałac w Korsuniu nad rzeką Rosią. Następnie wdraża w życie wielki plan oczyszczania z wieczystą dzierżawą gruntu i inwentarza. Zakłada fabryki tytoniu, luster, hutę szkła, szpitala... a w Sachnowce winnice. Na cześć jego działalności w Ukrainie Józef Wybicki poświęca mu pochwalny utwór *Wiadomość z Olszewnicy*. Sam książę o tym napisze jako o dziele: „Najpiękniejszym, najtrwalszym i najpotężniejszym ze wszystkich systemów w społeczeństwie ludzkim”.

Kolejny raz książę Stanisław odwiedza słoneczną Italię w 1785 roku. Bawi w Rzymie. Potem zwiedza Kalabrię i Sycylię. Angelica Kauffmann, malarka mieszkająca w Rzymie od 1782 roku, namaluje portret księcia na tle dymiącego wulkanu Etna na Sycylii. W Rzymie, przy Via Flaminia kupuje willę, w której w przyszłości zamieszka. Od 2012 roku znajduje się w niej Muzeum Archeologiczne. Po swoich ostatnich jesienno-zimowych wystąpieniach sejmowych w 1789 roku, książę wycofuje się z życia publicznego. Wraca do Rzymu. Spędza czas odpoczywając w słonecznej atmosferze miasta, wśród zabytków

i ogrodów. Jednakże Wieczne Miasto staje się pełne polskich uchodźców. Wśród nich są między innymi Marszałek Sejmu Wielkiego – Stanisław Małachowski i Tadeusz Kościuszko. Tego ostatniego podejmuje obiadem na krótko przed ponowną podróżą na południe Włoch, do Neapolu, gdzie niegdyś królowa Maria chciała go ożenić z jedną ze swych córek, a caryca proponowała mu rękę arcyksiężniczki Aleksandry. Księżę odmówił w obu przypadkach.

Wkrótce na skutek rozbioru Polski księżę zaczyna odczuwać obniżenie swoich zasobów finansowych. Wraca do kraju. Następnie udaje się do Rosji. Reguluje wszystkie swoje sprawy majątkowe i opuszcza na stałe Polskę. Na początku zatrzymuje się w Wiedniu, lecz ostatecznie wybiera Italię. W niej spędzi resztę swojego życia.

W Italii zaczyna się urządzać jak niegdyś w Ukrainie. Kupuje pałace i posiadłości. W jego posiadaniu są włości w Imoli, Emili Romagni, villa i winnica w Albano Laziale pod Rzymem, posiadłości w Wielkim Księstwie Toskanii koło Livorno, w Montenero z siedzibą w Monte Rotondo, posiadłości w Chianti z opactwem Badia a Coltibuono, gdzie dziś produkuje się wysokiej klasy wino.

Księżę staje się w Italii bardzo popularny. Słynnie ze wzorowego prowadzenia swoich posiadłości, jak i z dobrego traktowania swoich poddanych. Nie wyzyskuje ich, udziela im pożyczek, dba o ich zdrowie i zapewnia godne warunki życia. W Rzymie oddaje się działalności charytatywnej. Wspiera finansowo szpitale, artystów, studentów, ubogich... Zyskuje w ten sposób przydomek *Il buono Polacco* (dobry Polak). Wkrótce poznaje Cassandre Benloch (z domu Luci), która zwraca się do niego o pomoc i ochronę przed bijącym ją mężem. Księżę ją przygarnia i odtąd żyją razem (małżeństwo zostanie sformalizowane dopiero w 1830 roku). Jednak zraża sobie tym postępkami rzymskie elity i Watykan, albowiem Cassandra pochodzi z ludu, a tego rzymskie elity nie akceptują. Księżę z dobrego Polaka staje się złym Polakiem (*Il cattivo Polacco*). Opuszcza Rzym. Zamieszkuje we Florencji, która przyjmuje go z radością i, co ważne, z wielkim zrozumieniem. Tutaj ostatecznie księżę Stanisław odnajduje swoje późne szczęście. Żyje tutaj już do śmierci wraz z żoną i dziećmi: Izabelą, Karolem, Konstancją, Józefem i Michałem.

Księżę Stanisław Poniatowski odchodzi 13 lutego 1833 roku. Zostaje pochowany w kościele w posiadłościach Monte Rotondo. Następnie zostaje przeniesiony do Florencji, do kościoła San Marco. Jego synowie Karol i Józef wznoszą mu nagrobek, który wykonuje w 1857 roku I. Villa.

Dziś, kiedy odwiedzimy Florencję, przejdźmy się Via Camillo Cavour i popatrzmy na Palazzo Bastogi. W nim to bowiem mieszkał księżę Stanisław z rodziną. Pójdźmy następnie do kościoła San Marco, stańmy przy jego grobie i chwilę porozmyślajmy nad jego życiem. Potem usiądźmy w jakimś barze i poprośmy o kieliszek wina z dawnej jego posiadłości Badia a Coltibuono. Delektując się nim, wtłoczmy w swoje żyły krew ziemi, która dała księciu tyle szczęścia w ostatnich latach. Ziemi, która była i jest nosicielem wyszukanego piękna, godnego piękna kochającego księcia.

Etykieta wina z posiadłości
Badia a Coltibuono



Z Elwirą Cisowską-Kozak i Bartoszem Kolaszyńskim z Fundacji Bez dzwonka – Centrum Edukacji Domowej rozmawia Ewa Nowak

„Dziecko ma prawo być sobą. Ma prawo do popełniania błędów. Ma prawo do posiadania własnego zdania. Ma prawo do szacunku”.

Janusz Korczak

Skąd wziął się pomysł założenia Fundacji i Centrum Edukacji Domowej?

Elwira Cisowska-Kozak: Pomysł odejścia od obowiązującego modelu pracy z dziećmi dojrzał we mnie od dawna. Na początku był dyskomfort. Miałam wrażenie, że wysiłek wkładany w pracę z dziećmi nie przekłada się na wyniki. Że coś nie działa. Miałam poczucie, że coś muszę zmienić. Zaczął się czas poszukiwań – uczestni-

czyłam w wykładach, spotkaniach. Czytałam. Szukałam odpowiedzi w jaki sposób mogłoby to wyglądać. Może są lepsze sposoby, których nie znam? Dopiero poszukiwania dały mi odpowiedź, że nie można nikogo niczego nauczyć. Że możemy mówić o pracy, pomaganiu, wspieraniu ale nie nauczaniu. Trzeba zmienić postrzeganie procesu uczenia się. I tak powoli zrodził się pomysł edukacji domowej – czyli maksymalnego wspierania dziecka w jego rozwoju, przy jednoczesnym realizowaniu obowiązującej podstawy programowej dającej możliwość korzystania ze wszystkich szczebli edukacji. Ale jednocześnie rezygnując z tego co w szkole najbardziej mi przeszkadzało: kontroli, hałasu, pośpiechu, stresu, wyścigu. Chcemy dać dzieciom szansę przejścia obowiązującej ścieżki edukacji w przyjazny i komfortowy sposób.

I z tych wszystkich przemysłów narodziła się Fundacja Bez dzwonka?

ECK: Pomysł powstania Fundacji zrodził się z szacunku dla dzieci i potrzeby ich wsparcia we współczesnym świecie. Mimo wielu dokonań naukowych i niezwyklej rozwojowi wszystkich dziedzin życia, w większości przypadków polska szkoła pozostała nadal miejscem, gdzie nic się nie zmieniło od 200 lat. Odkrycia neurobiologów na temat pracy mózgu w żaden sposób nie znalazły zastosowania w pracy z dzieckiem. Wiadomo współcześnie już wystarczająco dużo o tym, co ważne dla mózgu dziecka, dla jego rozwoju, o mechanizmach uczenia się i odczuwania szczęścia. Rozmowy z osobami wrażliwymi na dobro dziecka potwierdziły potrzebę zmiany, zauważa ją już szerokie grono rodziców i nauczycieli. Fundacja to platforma, dzięki której spotkają się rodzice i nauczyciele, chcący



stworzyć dzieciom miejsce do bezpiecznego rozwoju. Działalność Fundacji opierać się będzie na dwóch głównych filarach. Prowadzenie i rozwijanie Centrum Edukacji Domowej i Strefy dla Dorosłych – rodziców i nauczycieli w celu stworzenia alternatywnego dla tradycyjnego nurtu pedagogiki.

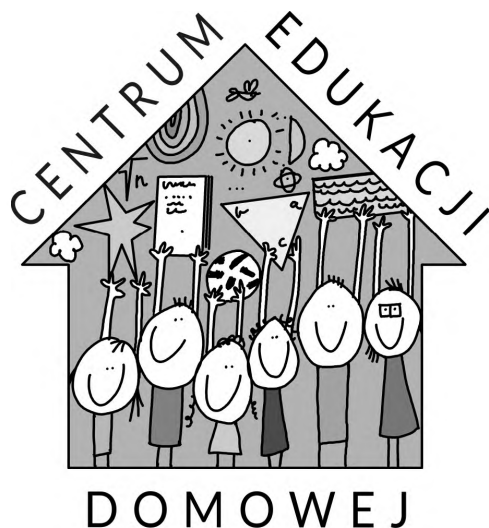
Najpierw powołana została fundacja – czyli organ założycielski, potrzebny do tego wszystkiego, co by mogło potem się wydarzyć. Na każdą działalność potrzebne są środki i możliwość pozyskiwania dotacji... to właśnie umożliwia istnienie fundacji. Pierwszym krokiem fundacji było stworzenie Centrum Edukacji Domowej, czyli miejsca, przestrzeni edukacji. To trwało rok, od momentu założenia fundacji w maju 2021. Pierwsze kroki stawialiśmy podczas wakacji 2021.

A Centrum Edukacji Domowej czym jest albo czym ma być?

ECK: Budujemy miejsce rozwoju wrażliwości na dzieci. Dla dzieci, rodziców i nauczycieli. W trosce o wspólne dobro. Zapraszamy do niej dzieci, które z różnych przyczyn nie chodzą do publicznej szkoły lub które chodzą do niej nie chcą i nie będą, zgodnie z decyzją rodziców. Rodzice zapisują wówczas dziecko do dowolnej placówki publicznej, składają wniosek do dyrektora o zezwolenie na edukację domową, a dziecko realizuje obowiązek nauki na terenie naszego CED. Wnioski o zezwolenie na edukację domową można otrzymać w szkole, do której zapisane jest dziecko. Zapraszamy rodziców i nauczycieli do wspólnych spotkań, rozmów i przemyśleń, jak podążać za rozwojem dziecka, niosąc mu wsparcie, życzliwość i akceptację. Wypracowane „eduwskazy” – co można odpuścić, co warto wzmocnić, co trzeba bezwzględnie odrzucić stworzą płaszczyznę jednolitego działania na terenie Centrum Edukacji Domowej i w domu. Zawocuje to poczuciem bezpieczeństwa dziecka, wzmocni przekaz i zacieśni relacje.

Jest pani twarzą, pomysłodawczynią, ale nie jedyną osobą, działającą w fundacji

ECK: Wspiera mnie i współpracuje ze mną Bartek Kolaszyński, pracujący w jednej ze śremskich szkół nauczyciel. Nasze wspólne działania to efekt rozmów, które odbyłam z przyjaciółmi



i wieloma osobami. Poszukiwałam kogoś, kto wesprze mnie w działaniach i myśli podobnie.

BK: O edukacji alternatywnej myślałam już od dłuższego czasu. Takim punktem zwrotnym było wysłuchanie na platformie TED wykładu Kena Robinsona, pedagoga, autora wielu książek i publikacji, który mówił o niedziałaniu systemowego stylu nauczania w edukacji publicznej. Zamarzyłem wtedy, że gdybym miał możliwość to stworzyłbym warunki innej edukacji. Nadarzyła się okazja... i spotkałem się z Elwirą.

ECK: Na razie działamy we dwoje, ale nie jesteśmy sami. Nawiazaliśmy współpracę z innymi, otwartymi na zmiany osobami. A takich w Śremie nie brakuje. Priorytetem jest dla nas utworzenie grupy lub grup, z którą/którymi będziemy pracować. Miejsce już jest, siedziba centrum edukacji mieści się przy ul. Mickiewicza 21. Teraz zapraszamy dzieci i rodziców, którzy takiego miejsca poszukują. Rekrutujemy dzieci do dwóch grup 1-3 i 4-8 szkoły podstawowej.

Czy rodzice są gotowi na zmiany?

ECK: Grupa w zeszłym roku nie powstała. Ale wierzę że w końcu do tego dojdziemy.

BK: Odbiór osób, z którymi się spotkaliśmy był niezwykle pozytywny. Nie doszło jednak do konkretnych deklaracji, co nie znaczy, że nie uda nam się teraz. Musimy być cierpliwi.

A czemu obowiązujący model nie działa tak jak powinien?

BK: Bo powstał ponad 200 lat temu. Powstał ponieważ ludzie zafascynowali się wynalezieniem silnika parowego i zrodziła się potrzeba wykształcenia dużej ilości osób, które mogłyby pracować w fabrykach. Trzeba było szybko nauczyć ich czytać, pisać i liczyć. I to się udało. Ten pruski model publicznej edukacji sprawdził się w tamtych czasach bardzo dobrze. Ale trzeba to podkreślić – to był model stworzony na tamte potrzeby, na tamte czasy. Dzisiaj mamy inne czasy, inne potrzeby, a model nauczania jest dokładnie taki sam. Oczywiście usprawniano i modyfikowano go przez ten czas, ale niewiele to zmieniło. System miał być powszechny i tani – przede wszystkim i tak zostało. A taniość nie zawsze idzie w parze z jakością... najczęściej nie idzie.

Co proponujecie w zamian?

ECK: Chcemy zaproponować wykorzystanie wiedzy o tym jak przebiega proces uczenia się. Nauka i naukowcy – neurobiolodzy i neurodydaktycy już to wiedzą. Jak poznajemy świat? Jak zapamiętujemy? W jaki sposób robić to zgodnie z tym czego dowiedzieli się naukowcy. Jak to właściwie wykorzystać? Jak dopasować do potrzeb i możliwości dzieci? Chcemy na nowo spojrzeć na proces przekazywania i zdobywania wiedzy. Chcemy, żeby było to jak najlepsze dla dzieci. To dziecko dla nas ma być najważniejsze, a nie system. Bo każde jest inne i my tą inność chcemy wykorzystywać. Przeglądać się dzieciom i ich potrzebom. Dostosowywać narzędzia do potrzeb, a nie odwrotnie. Chcemy znajdować mocne strony dziecka i wykorzystywać je w procesie nauczania. Chcemy podążać za jego pasją, jego marzeniami, wspierać w rozwiązywaniu problemów. Chcemy, żeby dzieci były szczęśliwe, realizowały swoje marzenia i pasje, jednocześnie zdobywając wiedzę.

BK: Chcemy odkryć w dzieciach ich wewnętrzną motywację – odkryć i wykorzystać.

ECK: Bo jak mówi Marzena Żylińska, każde dziecko w naturalny sposób jest ciekawe świata. I my nie będziemy im w tym przeszkadzać. Będziemy wspierać i pomagać.

Czy rodzice zdają sobie sprawę jak wiele w tym modelu zależy od nich?

BK: Rodzice mają wiele obaw. Sami są produktami tego systemu. Zdają sobie sprawę, że nie jest dobry, są niezadowoleni, ale sami go przeszli. Nie wszyscy mają złe wspomnienia, wielu świetnie radzi sobie w życiu. Dostają nową propozycję. Zaczynają się obawiać... Chcą mieć gwarancję. Ale gwarancję czego?

ECK: Edukacja domowa, którą proponujemy, w oparciu o placówkę do której przynależy dziecko jest zmianą. A zmiany jednak budzą lęk. Dochodzi do tego konieczność współpracy, konieczność większej uważności na dziecko. To nie szkoła ma uczyć dziecko. Musimy to robić wspólnie.

BK: Chcemy, żeby dzieci, które w przyszłości wyjdą z takiej szkoły, same zauważyły tę zmianę. Zmianę w swoim życiu. I żeby ich rodzice również to zauważyli.

ECK: Gwarancją sukcesu tego nowego modelu edukacji jest miłość i uwaga rodziców, jednocześnie kompetencje i zaangażowanie nauczycieli.

BK: Zakładamy że w tym roku uda nam się stworzyć małą grupę, która zacznie u nas edukację. Są zainteresowani rodzice, są chętni do współpracy osoby. Jest zapał, chęć działania. Mamy nadzieję że się uda.

Jak to chcecie robić?

ECK, BK: To nie będą tylko lekcje. Chcemy dzieciom pokazywać opowiadać, zabierać je na spacer do kin, muzeów... Uczyć je patrzeć, obserwować i dostrzegać rzeczy ważne. Chcemy być czujni i elastyczni – chcemy widzieć i rozwiązywać problemy, realizować ciekawe projekty. Chcemy, żeby dzieci były świadome w jakim procesie uczestniczą i jak są dla nas ważne.

Kim jest dla was Janusz Korczak?

ECK: Dla mnie jest to osoba, która niezwykle dogłębnie poznała, nazwała i rozumiała istotę opieki, pomocy i potrzeb dziecka. Słuchał, rozumiał, obserwował, szanował. Jest dla mnie wzorem uważności i miłości.

BK: Korczak to nasz polski przykład. Ale takich na świecie jest wiele. Osób, które wiedzą jak postępować z dziećmi, jak je rozumieć i jak z nimi rozmawiać.

Dziękuję za rozmowę. Życzę powodzenia.

Bartosz KLIMCZUK

„Mała Skandynawia” na południu Europy

Wśród naszych rodaków Bałkany jako kierunek turystyczny cieszą się bardzo dużą popularnością. O tej renomie nie decyduje wyłącznie bliskość tych krajów (dużo wyjazdów odbywa się autokarami), czyste, piaszczyste plaże, czy piękna, wakacyjna pogoda. Dla wielu z nich Bałkany to teren nadal „dziki”, bardzo odmienny od reszty Europy, głównie przez obserwowane tam do dziś wpływy tureckie (znaczna część tego regionu należała przez całe stulecia do Imperium Osmańskiego). Podczas rozmów o Bałkanach z jego turystycznymi fascynatami, nie ma raczej większego problemu z wymienieniem niektórych państw, które bezsprzecznie są „bałkańskie”: Grecja, Serbia, Macedonia czy Albania. Większa różnica zdań pojawia się w momencie, kiedy należy wskazać, gdzie Bałkany tak właściwie się kończą. Gdyby brać pod uwagę wyłącznie kryterium geograficzne, to praktycznie problemu nie ma. Bałkany najprościej rzecz ujmując obejmują kraje znajdujące się na półwyspie o tej samej nazwie, czyli od Grecji do południowych fragmentów Chorwacji na zachodzie i południowych części Rumunii na północy. Gdy jednak mapę odłożymy na chwilę na bok i jako główny czynnik weźmiemy aspekt historyczny czy kulturowy, sytuacja staje się znacznie bardziej złożona. Do dziś wśród osób zajmujących się tematyką bałkańską nie ma zgody, czy np. do tego regionu należą wszystkie państwa tworzące niegdyś Jugosławię, czy nie. Największy dylemat dotyczy w tym kontekście w sumie wyłącznie jednego państwa – Słowenii. Sami Słowacy z całą pewnością za mieszkańców Bałkanów się nie uważają. Mało tego, za określanie ich mianem środkowoeuropejczyków też by kręcili nosem... Do Lublany zawitałem w lutym tego roku. Stolica Słowenii nijak nie przypomina większości miast

byłej Jugosławii, w której do tej pory byłem. Centrum stolicy wyglądało mi bardziej na miejscowość austriacką, a całe miasto (liczące niecałe 300 tys. mieszkańców) architektonicznie to już Skandynawia pełną gębą. Jeśli ktoś wie, chociaż mniej więcej, czym charakteryzuje się szwedzki modernizm, to na pewno zauważy go także w Lublanie. Skandynawskie wrażenie wzmagają okoliczne lasy iglaste i położenie wśród gór. Gdy zbiorową taksówką przemieszczałem się z lotniska do zarezerwowanego wcześniej noclegu, to droga wyglądała praktycznie identycznie, jak ta z lotniska Sztokholm-Skavsta do centrum stolicy Szwecji. Poznani przeze mnie Słowacy pod względem umiejętności językowych także bardziej przypominali mieszkańców północnej Europy niżli Bałkan. Praktycznie każdy, starszy czy młodszy, umiał dogadać się w języku angielskim. Przywołałam w tym miejscu pewną sytuację. Należę do ogromnych fanów urządzenia zwanego powszechnie mlekomatem. Obojętnie o której godzinie podchodzisz do automatu, wrzucasz odpowiednią kwotę i dostajesz wybraną przez siebie ilość mleka. Tak się składa, że najlepsze w życiu mleko piłem właśnie z takich urządzeń (chętnie bym jedno takie także widział w Śremie!). W stolicy Słowenii również się na nie natknąłem, co przyjąłem z nieskrywaną radością. Niestety, instrukcja obsługi umieszczona na maszynie była wyjątkowo mało intuicyjna. Z pomocą przyszła pewna starsza pani, na oko koło 70., która łamanym, ale jednak angielskim wyjaśniła mi jak i co zrobić. W tym momencie w mojej głowie pojawiło się pewne niezbyt patriotyczne pytanie, czy gdy obcokrajowiec miałby taki sam problem w Polsce, to polski senior również wszystko by mu tak pięknie wyjaśnił.



Miasteczko Bled urokliwie położone u podnóża Alp, fot. B. Mroczyk

Na początku lutego w Słowenii obchodzone jest święto kultury, nazywane także Dniem Prešerena. Nazwa święta nie jest przypadkowa i pochodzi od nazwiska France Prešerena, najslawniejszego słoweńskiego poety z XIX wieku, autora słów hymnu Słowenii. Dzień ten jest wolny od pracy i wiąże się z różnymi benefitami, z których mogą korzystać nie tylko obywatele Słowenii. Tego dnia można na przykład za darmo wybrać się do dowolnego muzeum, lub skorzystać z bogatej oferty wydarzeń okolicznościowych. Jeden z młodych „lokalsów” odradził mi jednak zbytnie „ukulturalnianie się”, ponieważ te wszystkie wydarzenia odbywają się wyłącznie w języku słoweńskim, a i muzea podobno mało są przystępne dla obcojęzycznych gości. Na szczęście Dzień Prešerena oferuje wszystkim bez wyjątku także inne przyjemności, m.in. zakup biletu autobusowego na większość tras tylko za jeden eu-

ro. Można więc ze spokojem tego dnia przejechać cały kraj mając w kieszeni tylko jedną monetę. Z tej opcji także ja skorzystałem i wybrałem się nad Jezioro Bohinjsko położone wśród gór w Parku Narodowym Triglav. Zdaje się, że sporo Słoweńców chciało wykorzystać wolny dzień maksymalnie i prawdziwe tłumy szturmowały okoliczne stoki i szlaki narciarskie.

To nie był koniec zwiedzania naturalnych waleńców Słowenii. Jedną z bardziej znanych atrakcji turystycznych tego państwa (która atrakcją turystyczną jest już od końca XIX wieku) jest mająca około 20 km korytarzy jaskinia Postojna. Wprawdzie kiedyś zwiedzanie jej musiało być bardziej klimatyczne, ze względu głównie na brak oświetlenia i konieczność zabrania za sobą tony świeczek, to obecnie niezwykle formacje skalne można podziwiać także z wagonika małej kolejki. Miód na moje serce spowodował fakt, że



W dniu słoweńskiego święta kultury wybrałem się nad Jezioro Bohinjsko, fot. B. Mroczyk

była możliwość wybrania przewodnika audio także w języku polskim, który nienaganną polszczyzną obfitującą w kwieciste przymiotniki opisywał niezwykle ciekawą historię jaskini. Rozmiary niektórych sal naprawdę robiły wrażenie (w największej mogłaby się w całości zmieścić katedra), nic więc dziwnego, że we wnętrzu jaskini mieści się mały sklep z pamiątkami, cyklicznie, co święta stawiana jest żywa szopka, a nawet odbywają się koncerty z publicznością. Najpiękniejsza słoweńska miejscówka miała jednak dopiero nadejść. Co roku tysiące turystów odwiedza urokliwie położone u podnóża Alp miasteczko Bled, które jest zdecydowanie najczęściej odwiedzaną miejscowością w Słowenii. Całkowicie rozumiem tę popularność, bo nie dość, że w najbliższej okolicy jest mnóstwo ciekawych pieszych szlaków, to jeszcze można popływać łódką po krystalicznie czystym jeziorze,

odwiedzić kościółek ulokowany na wyspie, czy wspiąć się na zamek. Z Bledu jest też bardzo blisko do Austrii jak i do Włoch, więc miasteczko pełni też idealnie rolę bazy wypadowej. Z tego dogodnego położenia sam miałem okazję skorzystać, gdy na jeden dzień wybrałem się do austriackiego Villach oraz do włoskiego Triestu. Wszystkie trzy miejscowości leżą bardzo blisko siebie, a jednak widać, że należą do kompletnie różnych państw.

Urszula ŁUKOMSKA

Autoportrety polskich mistrzów pędzla, kredki, ołówka. Część 3

Właściwie powinienem zmienić nieco tytuł tekstu, bo tym razem dotyczy autoportretów dwóch polskich malarek, o których pisałam w „Gazecie Śremskiej” kilka lat temu. To Anna Bilińska-Bohdanowicz (1857-1893) i Olga Boznańska (1865-1940). Chronologicznie ich działalność przypada na podobne lata jak opisanych poprzednio artystów, stanowią jednak zdecydowaną mniejszość, bo jak wiadomo kobietom w XIX w. nie dane było studiować w akademiach w żadnym z zaborów. Wyjeżdżały więc do różnych uczelni na Zachodzie szczególnie do Wiednia, Monachium i Paryża. Obie ceniły bardzo choć styl ich dzieł znacznie się różni.

Anna Bilińska *Autoportret*, fragment obrazu



O Annie Bilińskiej napisałam w „GŚ” w nr 3-4/2015 tekst *A. Bilińska-Bohdanowicz, malarka zapomniana...* Tytuł był adekwatny, bo rzadko kto o niej słyszał. Tymczasem w ubiegłym roku Muzeum Narodowe w Warszawie z wielkim rozmachem i odpowiednią reklamą pokazało jej prace po kilkudziesięciu latach, ściągając je z różnych muzeów polskich i zagranicznych. W mieście można było zobaczyć plakaty z jej autoportretem, wystawa cieszyła się dużą popularnością. Anna Bilińska-Bohdanowicz urodziła się na Ukrainie, datę urodzenia malarka zmieniała aby dostosować wiek do potrzeb. Często się odmładzała, by uczyć się z młodszymi w prywatnych szkołach lub później wychodząc za młodszego od siebie męża nie narażać się na plotki i docinki. Warto może przypomnieć, że pierwsze nauki pobierała u M. E. Andriollego, słynnego ilustratora *Pana Tadeusza*, mając zaledwie 12 lat. Później, po osiedleniu się rodziny w Warszawie zapisała się na kursy rysunku dla kobiet w Szkole Rysunkowej Wojciecha Gersona, studiując jednocześnie w konserwatorium muzycznym, gdyż była utalentowaną pianistką. Z kilkoma zamożnymi koleżankami, które pomagały jej finansowo wyjechała do Paryża by studiować w Akademii Julian. Zamieszkała z Zofią Stankiewiczówną, pierwszą polską studentką w tej szkole. Anna była świetną portrecistką. Sukcesy odniosła na Salonie paryskim w 1885 r. i 1887, a w 1889 otrzymała srebrny medal na Wystawie Światowej w stolicy Francji za *Autoportret z paletą*, który obecnie znajduje się w krakowskich Sukiennicach. Wystawiała w Londynie i Berlinie, z doskonałym przyjęciem i nagrodami. Była to jakby rekompensata za ciężkie przeżycia i depresję po śmierci w krótkim czasie ukochanego ojca i najlepszej przyjaciółki – Klementyny Krassowskiej, której



Anna Bilińska *Autoportret*, fragment obrazu

zapis testamentowy pozwolił artystce skończyć studia i podróżować. W 1892 r. poślubiła lekarza Antoniego Bohdanowicza herbu Sas i wraz z mężem wróciła do Warszawy. Miała ambitny plan utworzenia szkoły plastycznej dla kobiet na wzór paryskiej, ale choroba serca pokrzyżowała zamysł. Nie ukończyła swego drugiego autoportretu malowanego dla kolekcjonera hr. Ignacego Korwin-Milewskiego, który obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Paryski *Autoportret* jest doskonały. Młoda, piękna kobieta w skromnej sukni i ochronnym fartuchu z pękiem pędzli w prawej ręce siedzi na krześle na tle ciężkiej kotary, patrzy w stronę widza z powagą i stanowczością. Obraz utrzymany w gamie ciepłych brązów, namalowany jest z fotograficzną wręcz precyzją ale i z lekkością pędzla mistrzyni. Przez całe swoje krótkie życie próbowała

udowodnić, że kobiety powinny spełniać się zawodowo i nie zgadzać na gorsze traktowanie z powodu płci.

Swoją postawą i umiejętnościami wyprzedzała epokę. Zakochana w Ukrainie, gdzie spędziła dzieciństwo, często szkicowała kobiety w ludowych strojach, a jeden z nielicznych szkiców autoportretowych prezentowany w Londynie został zakupiony przez Grosvenor Gallery i przedstawia ją w takim stroju. Zmarła 9 kwietnia 1893 r.

Olga Boznańska jest chyba najlepiej rozpoznawalną i znaną artystką polską żyjącą i tworzącą w drugiej połowie wieku XIX i pierwszej XX. Jest też chyba jedyną, która utrzymywała się z malarstwa, gdyż była prawdziwą profesjonalistką. Zamożność inteligenckiej rodziny pozwalała jej od najmłodszych lat na prywatną edukację



Olga Boznańska Autoportret, fragmenty obrazów

u znanych krakowskich pedagogów, a później po wyjeździe do Monachium, u tamtejszych. Dopiero w Paryżu poczuła się wolna i decydująca o sobie. Po matce Francuzce odziedziczyła zamiłowanie do wielu dziedzin sztuki. Wstąpiła do Towarzystwa Artystów Polskich mając już złoty medal z Wiednia za portret Pawła Neuena (1893), swej ówczesnej miłości. Uznano ją za świetną portrecistkę i zamówienia się posypały. Nie ma chyba w Polsce muzeum, które nie miało by jej obrazów. Należy do plejady uznanych i podręcznikowych artystek. Namalowała też wiele autoportretów. Można powiedzieć, że stworzyła rodzaj malarskiego pamiętnika, bo portretowała się przez całe życie. Nie wiem, czy ktoś to policzył, trafiłam na informację że około 30. Są młodzińcze, w wieku dojrzałym i smutne, starszej kobiety – zniszczonej i zniechęconej do życia. Boznańska portretowała się w staromodnych strojach, sukniach zapiętych pod szyję, często w fartuchu malarskim i z pędzlami, a czasem z nieodłącznym papierosem... Jakiś złośliwiec powiedział kiedyś, że to ciągle ten sam portret

a zmieniają się tylko drobne rekwizyty. Myślę, że odczucia takie może wywoływać pewna maniera malarska. Artystka posługuje się często zawężoną gamą barwną srebrzystych szarości i rozcieraną plamą stwarzającą efekt mgiełki i niewyraźnych konturów. Postaci delikatnie wyłaniają się z tła. Trzeba jeszcze dodać, że w pewnym momencie malarka skończyła z wyrazistą techniką olejną na płótnie i zaczęła malować pastelami na kartonach. Najbardziej lubię autoportret z 1898 r., pastel na kartonie, który znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie. Artystka stoi półprofilem szarozielonej sukni i białym fartuchu, spoglądając na widza z lekko kpiącą miną. Na ugrupowanym tle tekstury bielą się zaledwie zasugerowane plamy, całość malowana lekko, szerokimi pociągnięciami, bardzo współcześnie. Kilka lat później, w 1906 r. powstał kolejny autoportret, jakby wyciszony, obecnie również w Krakowie, mający charakter bardziej wypracowanego studium. Olga była mistrzynią psychologicznego portretu, oddającego uczucia modela. Tę samą metodę stosowała w autoportretach.

Ewa NOWAK

Nic nowego? Na granicy figuracji

5 marca w Muzeum Śremskim odbył się wernisaż wystawy *Nic nowego? Na granicy figuracji*. Ten znak zapytania w tytule wystawy ma tu kluczowe znaczenie. Kluczowe, bo skłania do zastanowienia... Nic nowego, czy może jednak coś nowego? Wystawa została zorganizowana z inicjatywy Wydziału Rzeźby Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Na wystawie zaprezentowane zostały rzeźbiarskie realizacje autorów związanych z różnymi środowiskami artystycznymi. Kuratorami wystawy są Michał Wielopolski i Jarosław Bogucki. W gronie prezentowanych artystów znajdują się wykładowcy Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Gdańsku, we Wrocławiu, Krakowie, Szczecinie oraz niezależnych aktywnych twórców. Na wystawie swoje prace prezentują:

Mariusz Białecki, Sławomir Biernat, Jarosław Bogucki, Izabela Grudzińska, Grzegorz Gwiazda, Tomasz Jędrzejewski, Karolina Komasa, Józef Kopczyński, Małgorzata Kopczyńska, Wiesław Koronowski, Rafał Kotwis, Wojciech Kujawski, Aleksandra Mazurkiewicz, Igor Mikoda, Wiesław Napierała, Martyna Pająk, Józef Petruk, Marcin Radziejewski, Norbert Sarnecki, Michał Staszczak, Wojciech Tężycki, Jan Tutaj, Michał Wielopolski, Szymon Zwoliński. Nie można nie wspomnieć o dwóch nieżyjących już artystach, których prace pokazane są również na wystawie. Mowa tu o profesorach poznańskiej uczelni – Józefie Kopczyńskim i Wojciechu Kujawskim, spod skrzydeł których wyszło wielu artystów, uczestniczących w wystawie – m.in. Karolina Komasa, Igor Mikoda, Jarosław Bogucki i Aleksander Wielopolski. To oni byli mistrzami, przewodnikami swoich studentów, których prace możemy oglądać na wystawie.

„Kontynuujemy ich dzieło (oczywiście po swojemu). Ich piętno jest jednak nadal widoczne. Pamiętamy i jesteśmy dumni” – mówił Jarosław Bogucki.

Była to wystawa rzeźb związanych z szeroko pojętą figuracją, rozumianą jako niewyczerpane źródło inspiracji, charakteryzujące się pewną ponadczasowością, której trudno wieszczyć zanik czy skostnienie. Mimo że podlega skrajnym transformacjom, daje się sprowadzić do wspólnego mianownika, wywieść z jednego genetycznego prawzorca.





Dwudziestu czterech dojrzałych artystów. Rozpoznawalnych artystów. Dwadzieścia cztery rzeźbiarskie realizacje. Bardzo różne realizacje. Dwadzieścia cztery indywidualne spojrzenia na rzeźbę współczesną. Artyści wykorzystują różne materiały, używają różnych środków stylistycznych. Czy oceniają rzeczywistość? Czy znajdują płaszczyznę porozumienia? Każda praca jest inna, każdą można odkrywać, odszyfrowywać na wielu poziomach. Ale niekoniecznie... Można po prostu oglądać i traktować jako wartość samą w sobie.

„Tytuł wystawy ma skłonić do namysłu nad pojęciem figuracji, które stało się niezwykle obzerne, podobnie jak pojęcie rzeźby. Zwrot «na granicy figuracji» rodzi więc pytanie, na ile można tę granicę definiować, a na ile jest umowna. Figuracja i rzeźba są nierozzerwalnie powiązane. Najstarsze znaleziska pozwalają uznać te pojęcia za tożsame. «Przed Duchampem» istniały w zasadzie tylko dwie formy rzeźby – wizerunki figur oraz detale architektoniczne. Niemal w każdej

formie możemy dostrzec odniesienie do człowieka. Poszukiwanie takich antropomorficznych idei wynika z zapisanej w naszej podświadomości historii ludzkości. Poszukiwanie form zbliżonych do nas samych jest naturalną ludzką potrzebą. Często próbuje się dyskredytować sztukę figuralną werdyktem «nic nowego». Nie ulega jednak wątpliwości, że człowiek pozostaje źródłem inspiracji, choć figuracja ulegała niezliczonym przeobrażeniom, a ponadto nieustannie pojawiają się nowe możliwości ekspresji artystycznej (dzięki drukowi 3D, przestrzeni wirtualnej, sztuce intermedialnej itd.). Pokazano tu dzieła rzeźbiarzy, dla których przynajmniej w pewnym okresie ich rozwoju artystycznego figuracja miała szczególne znaczenie. Jakże ma dziś? Czy stanowi podstawę podejmowanych tematów, czy pozostała ledwie dostrzegalnym śladem?” – pisał w komentarzu do wystawy jeden z kuratorów – Jarosław Bogucki.

Gośćmi wernisażu byli: rektor Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu prof. dr hab. Wojciech Hora, dziekan Wydziału Rzeźby, dr hab. Rafał Kotwis oraz burmistrz Śremu Adam Lewandowski. Podczas wernisażu, dziekan Wydziału Rzeźby Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz, dr hab. Rafał Kotwis, dziękował obecnym na wernisażu, podkreślając jednocześnie symboliczną obecność artystów związanych z Wydziałem Rzeźby, a których już nie ma. Mówił o niezjących profesorach – Wojciechu Kujawskim i Józefie Kopczyńskim. „To dla nas niezwykle ważne. Jako wydział chcemy pamiętać o naszych korzeniach, o przeszłości, kontynuując ich myśl artystyczną, jednocześnie odważnie patrząc w przyszłość”.

Z kolei prof. dr hab. Wojciech Hora – rektor Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz, dodał, że dla uczelni niezwykle ważna oprócz dydaktyki, jest możliwość prezentowania prac, kontakt z odbiorcami. Podkreślił też, że współpraca Uniwersytetu z miejscami takimi jak Muzeum Śremskie jest sposobem dzielenia się sztuką, nawiązywaniem dialogu, koniecznym, żeby sztuka mogła zaistnieć w świadomości odbiorców.

Wystawa trwała do 10 kwietnia i cieszyła się dużym zainteresowaniem. Zwiedzający, nie doszukując się ukrytych znaczeń, traktowali to jako możliwość obcowania z dziełem sztuki.

Ewa NOWAK

Eugeniusz Antoni Ferster

Wystawa w Muzeum Śremskim

Eugeniusz Ferster był twórcą karykatur, małych form graficznych oraz projektantem logotypów i znaków graficznych. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że był on wybitnym znawcą jazzu, pasjonatem fotografii oraz autorem aforyzmów. Debiutował w 1969 roku w „Jazz Forum” karykaturą Włodzimierza Nahornego. Swoje rysunki i karykatury publikował też w „Szpilkach”, „Na Przełaj” i „Głosie Śremskim”. Jego prace zawędrowały do Francji, Niemiec, Kanady, USA i Japonii. Brał udział w wielu wystawach rysunku satyrycznego w kraju i za granicą. W 1973 roku został wyróżniony dyplomem polonii amerykańskiej AWARD OF MERT (Chicago). W 1987 roku został wyróżniony wpisem do WHOS WHO IN SATIRE AND HUMOUR (Bazylea). Był współautorem wydanego w 1992 roku *Wyboru aforyzmów Stanisława Ignacego Witkiewicza*. Stworzył ilustracje do dwujęzycznej antologii *Myśli – Gedanken* Lecha Konopińskiego (2006). Na wystawie w Muzeum Śremskim, w dwóch salach staraliśmy się pokazać reprezentatywną część dokonań artysty. Na pewno nie było naszym zamiarem pokazanie wszystkiego, bo byłoby to po prostu niemożliwe. I na pewno nie w dwóch salach. Eugeniusz Ferster był artystą wszechstronnym. Bardzo wszechstronnym.

Pewnie dla wielu gości wystawy było to duże zaskoczenie, gdyż większość kojarzy Go jako twórcę karykatur. Śremsian i nie tylko. Wielkich ale też zwykłych ludzi. Są w tym gronie aktorzy, politycy, artyści i muzycy, szczególnie związani z ukochanym jazzem. Chociaż każdy, kto znalazł się w gronie uwiecznionych przez Eugeniusza, czuł się większy, wybrany. Ale przecież nie był on tylko karykaturzystą. Fotografował, rysował, projektował. Znaki graficzne, opakowania, logotypy, okolicznościowe znaczki i datowniki. Pisał.

Współpracował z wieloma gazetami. „Szpilki”, „Jazz Forum”, „Głos Śremski”, „Gazeta Śremska”, „Kórnicaninem”, „Na Przełaj”, to tylko niektóre z nich. Przez wiele lat pisał do „Gazety Śremskiej”. Różne teksty – o Śreмі, podróżach, kuchni, winach. Przyjaźnił się ze Stanisławem Mrowińskim, który był jego mistrzem. Spacerował po Śreмі z jamnikiem Ramzesem i fotografował miasto. Przystawał, rozmawiał z ludźmi, dyskutował.





Pozostały po nim pełne teczkę projektów, rysunków, listów. Zaproszenia, korespondencja, podziękowania... Skrupulatnie wszystko zbierał, porządkował. Jego wielką pasją było fotografowanie przyrody, pięknych drzew, ale też drzew starych, zniszczonych, chorych, powalonych czasem i chorobą. Efektem tych wędrówek była wystawa w Muzeum Śremskim *Gniazdo. Ołtarze matki natury* w 2004, której część znalazła się również na tej przekrojowej wystawie. Tak jak czarno-białe zdjęcia Śremu. Na wystawie pokazujemy również wydawnictwa zbiorowe, w których znalazło się miejsce na jego rysunki. A także zaprojektowane przez niego okładki różnych wydawnictw. Projektował również exlibrisy – wielu śremsian ma je w książkach w swoich bibliotekach. Krzysztof Budzyń, Adam Podsiadły, Barbara Siwińska... Jest jeszcze coś o czym też wiedzą pewnie nieliczni – aforyzmy, złote myśli – efekt rozmów z samym sobą i obserwacji. I te małe, przewrotne grafiki, pełne aluzji i znaczeń do odkrycia. Przez wiele lat projektował też tarcze strzeleckie śremskiego Bractwa Kurkowego, którego był członkiem. Zachowało się ponad 60 projektów.

Zaczynał jako grafik, projektant, dekorator w śremskiej Odlewni. I te stare projekty również się zachowały. I je również możemy zobaczyć na wystawie. Jakże czasy takie projekty – chciałoby się powiedzieć. Chociaż i w nich widać już rękę artysty. Liternictwo, rozwiązania graficzne...

Kim był? Jak go zapamiętaliśmy? Trochę tajemniczy i z dystansem. Ale dla znajomych i przyjaciół ciepły i serdeczny. W ostatnich latach zmagął się z ciężką chorobą i trochę z samym sobą. Nie poddawał się, próbował żyć zwyczajnie. Jeszcze przychodził do Muzeum na herbatę, porozmawiać. Jeszcze zdarzało mu się wpaść z przyjacielem na koncert w muzealnym amfiteatrze. Jakież było nasze zdziwienie i jaka radość, że go widzimy. Wierzyliśmy, że mu się uda. Że pobędzie jeszcze z nami. Cóż...

Zobaczmy go teraz przez pryzmat zaprezentowanych prac, posłuchajmy z nim razem ukochanych jazzowych dźwięków. Wspomnijmy. Temu służyć ma ta przekrojowa wystawa. Będziemy pamiętać. I jeszcze nie raz nas zaskoczy, bo odkryjemy coś, co do tej pory uszło naszej uwadze.

Katarzyna GRZEGORCZYK

W cieniu wojny

Okiem belfra

O czym dziś myśleć? O czym pisać? O czym mówić? Świat wstrzymał oddech 24 lutego. Dziś powoli zaczyna oddychać mimo pożogi, cierpienia, nieszczęścia i śmierci. Życie toczy się utartym rytmem, choć cień wojny przysłania wiosenne słońce. Żyjemy mimo wysokich cen paliwa, mimo coraz droższego chleba, mimo braków na półkach w popularnym dyskoncie. Żyjemy...

W czwartkowy poranek 24 lutego serca Polaków zatrzymały się w przerażeniu i niedowierzaniu, by już po chwili zabić szybciej i mocniej. W tym przyspieszonym rytmie polskich serc rozpoczął się wielki akt solidarności. Otworzyły się nie tylko polskie serca. Otwierały się szafy, spiżarnie, portfele i domy. Ruszyły małe, duże i olbrzymie transporty darów od serc dla serc. W porywie współczucia, gniewu i strachu ruszyliśmy z pomocą. Cień wojny przysłonił wszystkie nasze problemy i obawy dnia poprzedniego. W środowy wieczór myśleliśmy o pandemii, sporach politycznych i nowych, budzących grozę, rozwiązaniach podatkowych. W czwartek o świcie to przestało być ważne. Ta wojna ma twarz ukraińskich dzieci – tych, które w pośpiechu opuściły rodzinne domy, tych, które kryły się w schronach, tych, które zgubiły rodziców podczas ewakuacji, tych, które wiele godzin stały w kolejce na granicy, by uciec do obcego kraju.

Naród ukraiński trwa. Odlicza kolejne dni nie-ludzkiej wojny. Najeżdźca staje się coraz bardziej agresywny, okrutny i zdesperowany. Przecież działania miały potrwać kilka dni. Imperium zaatakowało maleńką byłą republikę. Nie tak miało być. Rozjuszeni, zdesperowani żołnierze wrogiej armii plądrują, niszczą, mordują, zadają niewyobrażalne cierpienia. A świat? Patrzy. Poklepuje Polaków po ramieniu – fajnie pomagacie. Wysyła

dzielnym Ukraińcom komunikaty – jesteśmy z Wami. Tylko co dalej?

Jak o tej rzeczywistości mówić w szkole? Jak rozmawiać z młodzieżą i dziećmi? Jak komentować to, co do tej pory było tylko (albo aż) kartą historii? Młodzi ludzie w odruchu serca od pierwszych dni przynosili dary, segregowali, pakowali. Mieli poczucie sprawstwa. Działali. Dziś akcje pomocowe weszły w tryb wolniejszy, długofalowy, mniej spektakularny, choć dużo trudniejszy, bo oparty na pytaniu – ile jeszcze możemy dać? To moment, gdy rodzą się pytania o przyszłość. W polskich szkołach pojawiły się ukraińskie dzieci. Trafiły do rzeczywistości wcale nie najłatwiejszej. Nie znają języka, realiów polskiej szkoły i oczekiwań, jakie im się stawia. Polski nauczyciel nie włada ukraińskim, z rzadka rosyjskim, czasem angielskim. Mur niezrozumienia rośnie wysoko. Władze oświatowe ufają nauczycielskiej mądrości, doświadczeniu, empatii i intuicji. Nie wspierają rozsądkiem decyzji i systemowymi rozwiązaniami. Jesteśmy narodem, który w obliczu katastrofy działa na adrenalinie. Widzimy wtedy wspaniałe, bohaterские czyny i jesteśmy świadkami braterstwa na najwyższym poziomie. Ale gdy adrenalina opada, potrzeba rozsądku tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za system.

Jak zatem planować jutrzejszy dzień? Żyć w napięciu i oczekiwaniu? Poddać się lękom? Przyzwyczaić? Drwić z najeżdźcy, który traci czołgi, amunicję, a nawet żołnierzy i zdaje się tego nie zauważać? A może z powagą i pokorą opuścić głowę wobec grozy wojny i trwać u boku sąsiadów, pamiętając, że my wiemy, co to znaczy cierpienie nie tylko w cieniu, ale i obliczu wojny.



Wieści z ratusza

DZIAŁANIA PROFILAKTYCZNE

Gmina Śrem realizuje zadania z zakresu profilaktyki dla dzieci i młodzieży w zakresie wielu zagrożeń: cyberuzależnienia, narkotyki, alkohol. Gmina od wielu lat włącza się w ogólnopolskie kampanie, które mają na celu uświadomienie istniejących problemów dzieciom i rodzicom oraz wsparcie w działaniach edukacyjnych.

Gmina Śrem realizuje następujące kampanie:

ZACHOWAJ TRZEŻWY UMYŚŁ

Gmina Śrem po raz trzynasty włączyła się w ogólnopolską kampanię edukacyjno-profilaktyczną Zachowaj Trzeźwy Umysł.

Celem kampanii jest propagowanie nowoczesnej profilaktyki uzależnień wśród dzieci i młodzieży. Kampania skierowana jest do uczniów szkół podstawowych. Podstawą akcji jest kompleksowy pakiet materiałów edukacyjnych umożliwiających organizowanie przez nauczycieli sytuacji wychowawczych pozwalających młodym ludziom rozwijać dobre i mocne strony, przeżywać radość i satysfakcję. Zajęcia dają młodemu człowiekowi możliwość osobistego zaangażowania i włączenia się w konkretne działania i aktywności. Hasło kampanii na 2022 rok brzmi „Nie czas na nudę”. W ramach kampanii uczniowie będą mieli okazję brać udział w konkursach.

NARKOTYKI? TO MNIE NIE KRĘCI

Ogólnopolska kampania edukacyjno-profilaktyczna Narkotyki? To mnie nie kręci ma na celu poszerzenie wiedzy o procesach radzenia sobie i rozpoznawania ryzyka używania narkotyków i innych substancji psychoaktywnych jako fałszywych rozwiązań. Materiały kampanii skierowane są do uczniów klas 5-8 oraz ich rodziców.

SMART, TO ZNACZY MĄDRZE

Program profilaktyczny Smart, to znaczy mądrze porusza problem uzależnienia od Internetu i urządzeń mobilnych wśród dzieci i młodzieży, wywołany epidemią COVID-19.

Program Smart, to znaczy mądrze! został przygotowany specjalnie z myślą o wsparciu dzieci i młodzieży oraz ich rodziców w trudnych czasach izolacji społecznej. Materiały wpisują się w potrzebę profilaktyki i wczesnej interwencji związanej z pojawieniem się problemu nadużywania urządzeń mobilnych w życiu codziennym. Projekt może stanowić wsparcie merytoryczne podczas realizacji planów naprawczych i rozwojowych dotyczących uzależnienia dzieci i młodzieży od urządzeń mobilnych i Internetu. Program skierowany jest do uczniów z klas I-VIII oraz ich rodziców i opiekunów. Pozwala nauczyć dzieci bezpiecznych zasad korzystania z Internetu, a rodziców – umiejętności zdiagnozowania problemów wynikających z nadużywania technologii cyfrowych. Program ma również na celu pomoc w wyznaczaniu granic i skonstruowanie umowy na zasady korzystania z technologii mobilnych.

PROFILAKTYKA.TV

Gmina Śrem przystąpiła do programu profilaktyka.tv, dzięki któremu placówki oświatowe z terenu gminy Śrem będą mogły korzystać z platformy streamingowej. Znajdują się tu materiały multimedialne poruszające temat szeroko pojętej profilaktyki. Są to m.in. rozmowy ze specjalistami, filmy edukacyjne, szkolenia, animacje, podcasty. Materiały skupiają się na dwóch formach profilaktyki: tradycyjnej i pozytywnej. Tradycyjna profilaktyka ma za zadanie minimalizować czynniki ryzyka, pozytywna – skupia się

na wzmacnianiu czynników chroniących przed niepożądanymi zachowaniami. Pozytywna forma profilaktyki jest szczególnie istotna w obszarze edukacji dzieci i młodzieży. Odbiorcami materiałów multimedialnych są uczniowie, nauczyciele, rodzice oraz specjaliści związani z profilaktyką. Filmy mogą być wykorzystywane np. w pracy z uczniami, rodzicami czy doskonaleniu umiejętności i wiedzy przez nauczycieli oraz osoby zajmujące się profilaktyką. Materiały są dostępne na stronie www.profilaktyka.tv.

WAKACYJNE DYŻURY PRZEDSZKOLI

W okresie ferii letnich 2022 dyżury będą pełniły przedszkola prowadzone przez gminę Śrem:

w lipcu:

- Przedszkole Nr 2 „Słoneczna Gromada” w Śremie, ul. Adama Mickiewicza 91,
- Przedszkole z Oddziałami Integracyjnymi Nr 5 „Mali Przyrodnicy” w Śremie ul. Tadeusza Bora Komorowskiego 4,

w sierpniu:

- Przedszkole Nr 3 "Jarzębinka" w Śremie ul. Tadeusza Bora Komorowskiego 3,
- Przedszkole Nr 7 „Janka Wędrowniczka” w Śremie, ul. Dezyderego Chłapowskiego 12 A,

Zapisy na dyżury przyjmowane są w sekretariatach ww. przedszkoli.

W przedszkolach prowadzonych przez podmiot inny niż gmina, informacja o funkcjonowaniu przedszkola w wakacje udzielana jest w sekretariatach tych przedszkoli.

BUDŻET OBYWATELSKI ŚREMU 2023

Rozpoczyna się nowa edycja Budżetu Obywatelskiego Śremu. Pula środków na Budżet Obywatelski Śremu wyniesie 1 000 000 złotych.

Środki finansowe zostaną podzielone na trzy kategorie:

- projekty ogólnogminne – 500 000 zł
- projekty lokalne miejskie – 250 000 zł
- projekty lokalne wiejskie – 250 000 zł



**BUDŻET
OBYWATELSKI
ŚREMU**

Konsultacje będą prowadzone elektronicznie na stronie budzetobywatelski.srem.pl zgodnie z przedstawionym harmonogramem:

- składanie projektów – od 1 do 30 czerwca
- weryfikacja złożonych projektów – od 1 lipca do 12 sierpnia
- procedura odwoławcza – od 13 do 19 sierpnia
- głosowanie – od 16 do 25 września
- ogłoszenie wyników – 26 września
- realizacja wybranych projektów – 2023 rok

W budżecie obywatelskim udział może wziąć każdy mieszkaniec gminy Śrem (nie ma ograniczeń wiekowych). Informacje szczegółowe są dostępne na budzetobywatelski.srem.pl

W przypadku pytań można kontaktować się z pracownikami Urzędu Miejskiego w Śremie:

Urząd Miejski w Śremie

Pion Komunikacji Społecznej i Informatyzacji
Plac 20 Października 1, 63-100 Śrem, pok. nr 16
tel. 61 28 47 115, 61 28 47 116

budzetobywatelski.srem.pl

email: budzetobywatelski@srem.pl

Zachęcamy do realizacji własnych pomysłów na gminę!

POMNIK ZADZWONI DO CIEBIE – HISTORIA ŚREMU W CIEKAWEJ FORMULE

Zachęcamy do wiosennych spacerów po Śremie, podczas których w interesujący sposób można poznać historię miasta. Wszystko za sprawą systemu Poznaj historię.

W pięciu miejscach w Śremie stoją tablice z hasłem „Poznaj historię”. Po zeskanowaniu QR kodu, pomnik, przy którym stoi tabliczka, zadzwoni na Twój telefon.



Jest to okazja, by na kilka minut przenieść się w czasie i przestrzeni i usłyszeć ciekawą opowieść.

Przedstawione historie są skupione wokół postaci:

- Józefa Wybickiego – pomnik pod ratuszem na Placu 20 Października
- Heliodora Święcickiego – ławeczka na promenadzie nad Wartą
- ks. Piotra Wawrzyniaka – pomnik przy kościele NSJ, ul. Kilińskiego oraz przy ławce na promenadzie nad Wartą
- Dziewczynki z zapałkami – ul. Kościuszki

Informacje są też dostępne na stronie

<https://www.poznajhistorie.pl/city/srem>

PRZEDSZKOLE SŁONECZNA GROMADA MA JUŻ 50 LAT!

Przedszkole nr 2 „Słoneczna Gromada” w Śremie w maju obchodzi uroczyste 50-lecie swojej działalności. Inicjatywa budowy nowego przedszkola zrodziła się w 1968 roku. Twórcą tego pomysłu był ówczesny I sekretarz Powiatowej Rady Narodowej - Marian Dominiczak. Jako miejsce wybrano działkę przy ulicy Adama Mickiewicza 91, w zakolu rzeki Warty. Przewodniczącą Społecz-

nego Komitetu Budowy Przedszkola była pani Halina Służewska (pediatra). W budowę zaangażowane były zakłady pracy i prywatni przedsiębiorcy. Istotną rolę w budowie placówki odegrali żołnierze Jednostki Wojskowej w Śremie.

Przedszkole rozpoczęło swoją działalność 1 września 1972 roku. Funkcję dyrektora powierzono pani Walentynie Tomaszewskiej, którą pełniła do 1991 roku. Od 1991 roku do dnia dzisiejszego placówką kieruje pani Elżbieta Kubera.

Działalność przedszkola wpisała się pięknymi kartami w historię Śremu i nadal tworzy jej kolejne rozdziały.

Gala Jubileuszowa odbędzie się 25 maja br. w sali widowiskowej Muzeum Śremskiego. W programie między innymi: układy taneczne przedszkolaków, wręczenie statuetek i podziękowań zasłużonym gościom, projekcja filmu *50 lat Przedszkola Słoneczna Gromada*, występ Sławomira Krammmy – absolwenta przedszkola oraz tort jubileuszowy.





Kalendarz wydarzeń na II kwartał 2022 r.

cały rok	uczczanie powstania Liceum Ogólnokształcącego w Śremie i 100-lecia nadania im. gen. Józefa Wybickiego Liceum w Śremie wydanie jednodniówki - 8.04.2022 r., otwarta sesja naukowa "Józef Wybicki i jego czasy" - 26.04.2022 r. - www.losrem.pl
marzec /kwiecień	Powiatowy konkurs kaligraficzny do zwrotek hymnu narodowego - www.spilowiec.pl
kwiecień /maj	VII edycja wojewódzkiego konkursu wiedzy o gen. Józefie Rufinie Wybickim i polskich symbolach narodowych - www.konkurs-wybicki.pl (8.04.2022 r. - eliminacje wojewódzkie on-line, 14.05.2022 r. - finał w Manieczkach) / www.unia.srem.com.pl
kwiecień /maj	Rajd rowerowy Śrem - Będomin - Śrem Klub Turystyki Rowerowej "Warcianie" przy kole PTTK Odlewni Żeliwa Śrem poczta rowerowa Śrem-Kościerzyna - Koło Polskiego Związku Filatelistów w Śremie
kwiecień /maj	wycieczka autokarowa na Kaszuby - www.unia.srem.com.pl , www.ck-ksiazwlpk.pl
cały rok	odnowienie nagrobka rodzinnego Wybickich w Brodnicy

kontakt:



koordynatorzy kalendarza / informacje:

Stowarzyszenie Miłośników Dziedzictwa Narodowego im. gen. Józefa Wybickiego
- e-mail: rad.fran7@gmail.com, kom. 506 997 049

Unia Gospodarcza Regionu Śremskiego - Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości
- www.unia.srem.com.pl, e-mail: unia@srem.com.pl, tel. 61 28 32 704



Zajęcia wielkanocne *W poszukiwaniu zaginionego jajka* odbywały się w dniach 28 marca do 8 kwietnia 2022 r. Wzięło w nich udział 25 grup przedszkolnych oraz szkolnych ze Śremu, Pyszącej, Zaniemyśla, Masłowa, Nochowa, Wieszczyczyzna. Po wysłuchaniu krótkiej opowieści o tradycjach wielkanocnych, dzieci wyruszyły z mapą na poszukiwanie ukrytych zagadek i zadań, które doprowadziły do zaginionych jajek. A te ozdobione przez dzieci, wraz z palmami wielkanocnymi, biorącymi udział w konkursie na Najpiękniejszą Palmę Wielkanocną, w czasie Wielkanocy dekorowały salę wystawową Muzeum Śremskiego.

Rozstrzygnięcie konkursu na Najpiękniejszą Palmę odbyło się 10.04.2022 r w sali widowiskowej Muzeum Śremskiego, podczas Niedzieli Palmowej w Muzeum. Uczestniczyło w nim prawie 400 osób. W konkursie wzięli udział uczniowie szkół podstawowych ze Śremu, Pyszącej, Nochowa, Bodzyniewa, Dąbrowy, Krzyżanowa, Błociszewa, grupy seniorów, znajomych oraz osoby indywidualne. Wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy oraz słodkie niespodzianki. Jury, w składzie Ewa Nowak, Katarzyna Tomczak i Agnieszka Grygier, wyłoniło zwycięzców w dwóch kategoriach: dorośli (nagrodzono 3 palmy oraz przyznano 1 wyróżnienie za najwyższą palmę) i dzieci (nagrodzono 4 palmy). Zwycięzcy otrzymali vouchery na zakupy oraz dyplomy i słodkie upominki.

maj | czerwiec 2022



63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl



Śremski Ośrodek Kultury zaprasza na koncert Anity Lipnickiej, który odbędzie się 24 września o godz. 19:00 w sali widowiskowej Muzeum Śremskiego. Bilety w cenie 120 zł do nabycia w BOK Śremskiego Ośrodka Kultury przy ulicy Mickiewicza 77, w kasie Kinoteatru Słonko oraz poprzez serwis bilety24.pl.

Anita Lipnicka debiutowała w zespole Varius Manx, z którym nagrała dwie płyty, szybko stając się jednym z najbardziej popularnych głosów swojego pokolenia. Po rozstaniu z Varius Manx i kilkumiesięcznym pobycie w Londynie, jesienią 1996 roku powróciła do kraju z płytą „Wszystko się może zdarzyć”, którą ugruntowała swoją pozycję jako niezależna i ceniona artystka. Na koncie ma łącznie 14 albumów sprzedanych w ponad 2 milionach egzemplarzy.

REPERTUAR

KONCERTOWO - KABARETOWY

2022

24.09.
godz. 19:00

ANITA LIPNICKA

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

09.10.
godz. 17:00

KABARET SOLO
IGOR KWIATKOWSKI

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

30.10.
godz. 17:00

KONCERT
MUZYKI FILMOWEJ

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

19.11.
godz. 19:00

LUXTORPEDA

SALA
SPORTOWA
ŚREMSKI SPORT

10.12.
godz. 16:00, 19:00

KABARET HRABI
(DZIECI I DOROŚLI)

SALA
SPORTOWA
ZSE



mail: bok@sok-srem.pl
tel: 889 647 418
www.facebook.com/sremski.osrodekkultury.9

maj | czerwiec 2022



63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



**ZAPRASZAMY NA TYDZIEŃ BIBLIOTEK
w śremskiej księżnicy!**

w programie:

WARSZTAT PRZYRODNICZY Z ŻUBREM POMPIKIEM

9 maja godz. 17.00

**MARCIN KOSTRZYŃSKI - SPOTKANIE
Z PRZYRODNIKIEM, DOKUMENTALISTĄ,
AUTOREM KSIĄŻEK**

11 maja godz. 17.00

ABOLICJA - ODDAJ KSIĄŻKĘ NIE PŁAĆ KARY!!!

9-15 maja



**ODDAJ KSIĄŻKĘ
NIE PŁAĆ KARY !!!**

9-14 maja

"Zapomniane" książki można
oddać do biblioteki osobiście
lub posłużyć się wrzutnią.

ABOLICJA
w Bibliotece Publicznej
im. Heliodora
Święckiego w Śremie

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

NOWOŚĆ W MEDIATECE!

**CZYTNIK
AUDIOBOOKÓW**

- dla Czytelników, którzy chcieliby posłuchać audiobooków, a nie posiadają odpowiedniego urządzenia
- doskonały w podróży
- dla dzieci, młodzieży, dorosłych
- polecany seniorom
- łatwy w obsłudze

Informacje szczegółowe: 612835467 w. 205
mediateka@biblioteka.srem.pl

**ZAPRASZAMY NA
SPOTKANIE
11 maja
godz. 17.00**
Biblioteka Publiczna w Śremie
ul. Grunwaldzka 10
wstęp wolny

**MARCIN
KOSTRZYŃSKI**
miłośnik i obserwator przyrody,
autor książek i filmów o zwierzętach
oraz kanału na YouTube "Marcin z Lasu"

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

rezerwacja i odbiór zaproszeń w dziale młodzieżowym
szczegółowe informacje pod nr 61 28 35 467 w. 206

**Biblioteka Publiczna w Śremie
zaprasza na
Przyrodniczy Warsztat
o Żubrze Pompiku
z Bajanką**

zabawy ruchowe zabawy językowe

iluzje i eksperymenty

9 maja godz. 17:00
dzieci 5-7 lat
wstęp wolny
rezerwacja i odbiór zaproszeń
wypożyczalnia dla dzieci

LICZBA MIEJSC OGRANICZONA!!

Szczegółowe informacje
pod nr 61 28 35 467 wew. 207

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie



Skraj lasu pomiędzy Ludwikowem a Esterpolem, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Emilia Dziubak
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl



ŚW. RITA
NAUCZ NAS PRZEBACZAĆ



TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

ul. Mickiewicza 91

Przedszkole „Słoneczna Gromada” zostało zbudowane z inicjatywy mieszkańców Śremu 1972 roku. Oficjalne otwarcie przedszkola odbyło się 22 XII 1972 roku. Funkcję dyrektora powierzono Walentynie Tomaszewskiej. W tym roku placówka obchodzi jubileusz 50 lecia istnienia.



Fot. z archiwum MŚ



Fot. Julia Szynańska, 2022